Nr. 11. Warszawa, dnia 1 (13) Marca 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy termin odnowienia przedpłaty.

POLITYKA.

W OGRODACH ARMIDY.

Gazeta londyńska *Daily Telegraph*, mająca zazwyczaj bujniejszą fantazyę, niż stosunki, otrzymała teraz dzięki stosunkom swym przecież, projekt reform, ułożony przez dyplomacyę stambulską dla Turcyi. Nie wprowadza nas nowe to *opus* do raju Mahometa, ale nam otwiera wszystkie wrota, ile ich prowadzi, do ogrodów Armidy. Jest to państwo, jeśli nie zbawienia, to szczęśliwości, nieprzebierającej między chrześcianami a Turkami i wszystkim jednakie zapewniającej słodycze — nawet sułtanowi. Zajrzyjmy przez sztachety do wnętrza.

Jak około wspaniałego dębu, grupuje się wszystko około władzy sułtańskiej, w nietykalnej całości swej utrzymanej. Do majestatu dzisiejszego przybywa sułtanowi nowa wspaniałość w radzie przybocznej, która pod nazwą rady państwa ma być senatem, pilnującym wykonywania praw i należytego biegu administracyi. Jak senat rzymski zapełniał się prokonsulami i wysłużonymi *magistratus maiores*, tak i ta rada składać się ma z dymisyonowanych wezyrów, ministrów, posłów i ambasadorów. Stałymi jej członkami będą: Szeik-ul-Islam i patryarchowie kościołów chrześciańskich.

Sułtan nie będzie mógł żadnego z tych senatorów, czy państworadców, usunąć; projekt nie mówi, czy nie będzie mógł każdego, gdy zechce, w Bosforze utopić. Atrybucye takiej niewzruszalnej rady są jeszcze i prawodawcze, a nietylko wykonawcze. W pierwszym zakresie rada uchwala prawa nowe a poprawia stare; w drugim — pilnuje urzędników od najwyższego do najniższego, osadza urzędy i w razie niedbalstwa, nadużycia lub przestępstwa grozi, napomina, usuwa, pod sąd oddaje. Sułtan pozwala radzie robić wszystko, co się jej w granicach jej atrybucyi zrobić spodoba; nie wtrąca się do niczego, nikogo nie osłania i nikogo nie prześladuje. W ogrodzie Armidy, jeśli wilk się wkradnie, to tylko na to, aby spokojnie ułożyć się do snu pospołu z owcami.

Rada stała nie jest jeszcze wszystkiem: prócz niej będzie miał sułtan jeszcze na początek specyalną radę reformatorską. Ta pokazywać mu będzie dziury i szczeliny w jego państwie i podawać środki zaradcze, któreby organizm utrzymywały w zdrowiu, a machinę w sprawności.

Do tej drugiej rady wejdzie najpierw dwóch prezesów, komisarzy nadzwyczajnych, zamianowanych przez Wysoką Portę, a potem po sześciu radców, oddanych pod rozkazy prezesom. Jeden prezes i jednych sześciu radców dla Azyi; drugi prezes i drugich sześciu radców dla Europy. Prezes będzie kierował robotą, radca—ją wykonywał. Zaraz po zamianowaniu uda się jedna komisya do Armenii, druga do Macedonii; zejdą się z powrotem w Konstantynopolu, gdzie na nie sułtan z upragnieniem już czekać będzie, aby mógł czemprędzej żywo dla poddanych swych bijące serce dobrym dla nich uczynkiem uszczęśliwić. Nic się przed wzrokiem radców-komisarzy nie ukryje. Reformatorowie wszędzie przenikną, wszystko dostrzegą, na wszystkiem się poznają, na wszystko znajdą ratunek. Gdy już obie połowy jednej całości poskładają swe raporty sułtanowi, a wraz z nimi i wnioski, sułtan potrzebować będzie tylko czasu do namysłu; potem weźmie pióro, podpisze— i reformy wejdą w życie. A nie będą one błahe: komisarze przetworzą sądownictwo, poprawią administracyę, uporządkują policyę i żandarmeryę, nadadzą samorząd prowincyom i powiatom, wsiom i miastom: w Turcyę zasieją Europę, w krzywdę — sprawiedliwość, w bezprawie — prawo i legalność.

I na tem jeszcze nie koniec. Oprócz dwóch rad powyższych otrzyma państwo padyszacha jeszcze i komisyę budżetową, mającą je wyleczyć z wiekuistej finansowej podagry. W komisyi zasiądzie trzech Europejczyków i trzech Turków: pierwszych zamianują mocarstwa, drugich sułtan. Komisya zaraz zabierze się do roboty, a będzie jej miała huk: przejrzeć książki dochodów i rozchodów, zamierzenia i spełnienia gospodarcze, roztrząsnąć systemat podatkowy, z teoryj ekonomicznych i skarboznawczych powydobywać wszystko, co tylko najlepszego znaleźć będzie mogła; nastręczy sułtanowi znowu sposobność do uszczęśliwienia poddanych reformami, a na uwieńczenie ich zaproponuje pożyczkę, na której znowu, jak dotychczas, bankierzy europejscy zrobią dobre interesa, przy samem negocyowaniu, aby zgóry odbić się za złe interesa, robione przy pobieraniu procentów. Obliczono już teraz, że Turcya co najmniej będzie potrzebowała 4,200,000 f. st. i tyle też dostanie na lat 45. Gdyby ten termin w dwójnasób przedłużyła, Europa za taką samą sumę gotówki zażąda od niej 6,300,000 f. st.

I zakwitną szczęściem ogrody Armidy. Gdzie rosły trujące upasy, tam wiecznie zieleniejące się drzewa wydawać będą złote jabłka hesperyd. Kij spokornieje przed prawem i sam nawet wypuści z siebie listki sprawiedliwości. Wypełznie gad wszelaki, nie mając już co robić w państwie, nad którem słonce prawdy, porządku i prawności nie zajdzie już nigdy. Aż

wreszcie Abdul-Hamid, syt sławy, nakarmiony wdzięcznością niewygasłą swych poddanych, za wszystkie swo zasługi dla Turcyi, otrzyma nagrodę w objęciach pani tych rozkosznych ogrodów, Armidy.

To dla niego najważniejsze.

Tydzień polityczny. W terminie sześciu dni Grecya dała odpowiedź przez posłów swoich przy mocarstwach przeciwko niej działających; dała dwie nawet odpowiedzi: jedną pismem, drugą słowem. Nie ogłoszono jeszcze ich tekstów urzędowych, ale prawdopodobny przeniknął już do dzienników ateńskich. Grecya wdzięczną jest za zajęcie się i Kretą i pokojem europejskim. Ponieważ mocarstwa mają na morzu siły wystarczające, rząd ateński przeto uważa swoje własne za zbyteczne i chętnie je odwoła; ale wojsko na lądzie pozostawić musi, bo nie może wydawać rodaków na rzeź. Połączy się też Grecya z mocarstwami, aby zabezpieczyć pokój i przygotować nową dla Krety przyszłość. Pod panowanie tureckie wtłaczać napowrót wyspy niepodobna; samorząd, jak wogóle los tej prastarej ziemicy greckiej, musi być od Turcyi zupełnie niezależnym. Gdy już uspokojenie się spełni, przed urządzeniem mocarstwa zarządzą głosowanie powszechne na wyspie. Tylko przyłączenie do Grecyi da rozwiązanie pożądane. Ustnie objaśnili posłowie, że Grecya gotowa jest wojsko swe poddać pod rozkazy Europy, jeżeli wodzem naczelnym zostanie jaki oficer rangą wyższy od pułkownika Vassosa; dołączyli jeszcze zapewnienia jak najlepszych, wszelką krnąbrność względem Europy wyłączających, zamiarów.

Times piorunuje właśnie na krnąbrność, z odpowiedzi samej jakoby już bijącą. Blokada według innych dzienników, wiedeńskich i berlińskich, ma być już postanowioną, właśnie wskutek odpowiedzi. Widziano już nawet u Salaminy, Eginy i przy zatoce Korynckiej uwijające się pancerniki. Na Krecie Turcy napadli na Vassosa na Akrotiry: bój nie rozegrany, prawdopodobnie tylko pobrzeżny. Vassosowi z 1,500 urosło wojsko do 3,000. Powstańców ma być już, wraz z ochotnikami z Grecyi, do 10,000; na połowę tej liczby podają siłę oddziałów, które napadły na Turków pod Hierapetrą, na pomorzu południowem wschodniej części wyspy. Włosi obronili Turków strzałami z okrętu.

Na granicy tessalskiej obie strony stają do boju. Turkom dowożenie wojska idzie ociężale, dla braku wagonów i wogóle niedołęztwa zarządu. Książę Sparty, Mikołaj, ma objąć dowództwo nad Grekami. Zjazd króla serbskiego z księciem bulgarskim roznieca ogień na obszarze nazywanym Macedonią. Niewiara w Turcyę jest tak wielka, że nawet Albańczycy nie kwapią się na jej ratunek. Od roztropności Greków w żądaniach zależy ich powodzenie w razie wojny: jeśli się porozumieją z obu państwami powyższemi, wyższość taktyczna i bojowa Turków nie będzie dla nich straszną. Europa dyplomatyzująca zaczyna się z myślą wojny umiejscowionej oswajać. Drogę od dobrej chęci do dobrego skutku najtrudniej będzie przebyć Austryi. Odgrażają się i Armeńczycy. Młodoturcy już dali za wygraną: czego nie zrobili rewolucyą, póki był czas, tego nie zrobią odezwami, gdy już poniewczasie.

Na porządku dziennym Europy teraz blokada. Zobaczymy albo Marcholta w lwiej skórze, albo rzeczywistego lwa. Ale na los Krety ani jeden, ani drugi już nie wpłyną. Sama dyplomacya wstydzi się tego, co robi: Kreta będzie wolną, a padyszach pójdzie na łaskawy chleb. Zasłużył nań, bo on to zamordował Turcyę.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

UBEZPIECZENIA I POGORZELCY.

Organizacya ubezpieczeń nieruchomości wiejskich jest u nas doniosłą sprawą społeczno-ekonomiczną: kwestyą bytu przedewszystkiem ludności włościańskiej. Od urządzenia tej całej machinery zależy istnienie materyalne rzesz wielotysięcznych. U nas jednak działa ona w ten sposób, że nie zaspokaja potrzeb istotnych. Asekuracya rządowa pod nazwą „gubernialne ubezpieczenie wzajemne,“ istnieje: w Królestwie Polskiem, w szesnastu guberniach nieposiadających ziemstw, tudzież w gub. Stawropolskiej, Tobolskiej i Tomskiej. Na tych terytoryach wyszczególnionych, z wyjątkiem Królestwa Polskiego, różniącego się w pewnych przepisach, asekuracya gubernialna działa według ustawy, uświęconej jeszcze r. 1867, która od tego czasu uległa tylko bardzo nieznacznym zmianom. Ubezpieczenie jest obowiązkowe i dobrowolne. Pierwsze stosuje się do wszystkich prywatnych i publicznych budynków, należących do stanu włościańskiego, szeregowców dymisyonowanych, mieszczan, osiadłych we wsiach i takich miasteczkach, które nie posiadają organizacyi miejskiej. Dla wszystkich budowli, stosownie do ich rodzaju i przeznaczenia, ustanowiono minimalną (5—40 rs.) i maksymalną (do 800 rs.) normę wartości asekuracyjnej. Kto życzy ubezpieczyć się według normy wyższej, powinien to żądanie w osobnem podaniu wyjawić; w przeciwnym razie będzie ubezpieczony według normy najniższej. Wydatki na zarząd, tudzież wypłatę wynagrodzenia po pożarach są pokrywane na rachunek poboru procentowego od ubezpieczonych; w razie zaś gdy ta suma jest niewystarczająca — na rachunek opłaty dodatkowej, tudzież kapitału zapasowego, który się tworzy z reszty niewypłaconej ubezpieczonym pogorzelcom w latach pomyślnych. Ogólny kierunek asekuracyi gubernialnej włożono na ministeryum spraw wewnętrznych; miejscowy — na gubernialne instytucye do spraw włościańskich lub zarządy gubernialne i okręgowe. Obowiązki wykonawcze nadano zarządom gminnym.

Ubezpieczenie dobrowolne działa w niewielu guberniach, stworzone zaś według typu obowiązkowego, różni się od niego jedynie wysoką normą sumy asekuracyjnej.

Ubezpieczenie gubernialne w Królestwie Polskiem jest najbardziej przestarzałe. Oparte, jak w guberniach nie ziemskich na zasadzie wzajemności, istnieje od r. 1804. Następnie ulegało zmianom i było przejrzane ostatni raz w r. 1870. Specyalną cechą tej formy ubezpieczenia u nas jest obowiązkowość, dotycząca nietylko ludności wiejskiej, lecz wogóle wszystkich właścicieli nieruchomości. Najwyższa suma asekuracyjna wynosi 5,000 rs.; dobrowolne zaś ubezpieczenie dosięga 10,000 rs.

Najdotkliwszym jest dla ludu sposób wypłacania sum pogorzelowych. Przeznaczone są na to fundusze specyalne, ze składek. Żadnych zapasów niema, gdyż te są odsyłane do Petersburga. Pogorzelcy więc otrzymują wynagrodzenia tylko w miarę napływu tych składek. Skutkiem tego mogą otrzymać swą należność za budynki spalone w pół roku. Przez ten czas, o ile ich lichwa lub dobrzy ludzie nie poratują, stają się pastwą nędzy z całemi rodzinami. Jedyna dla nich pociecha — polisy, wydawane stosunkowo dość szybko; ale jeżeli zechcą je zrealizować, muszą się udać do prywatnej instytucyi kredytowej i tam je spieniężać, oczywiście z pewną stratą. Pogorzelcy dwu wsi: Wielgolasu i Łukawca, których całkowite mienie, wraz ze zbiorem zboża w śpichrzach stało się pastwą ognia latem r. z., otrzymali polisy w grudniu i dotychczas nie mogą jeszcze wykołatać należności. Gdyby nie pomoc jednostek, odczuwających niedolę ludzką, wpadliby w najstraszliwszą nędzę. Przynajmniej mogli przezimować jako tako. Ale oto wiosna się zbliża, a oni nie mają jeszcze za co odbudować się i przyjść do pewnej równowagi materyalnej. W miarę napływu składek pogorzelcy otrzymują nieraz wynagrodzenia w ciągu paru miesięcy, ale tak drobnemi kwotami, że niepodobna myśleć o odbudowaniu.

Ministeryum spraw wewnętrznych przystąpiło do opracowania ogólnej reformy organizacyi ubezpieczeń w państwie i najpierw zaczęło od przekształcenia urządzeń asekuracyi gubernialnej w Królestwie Polskiem. Kiedy ta reforma przyjdzie do skutku, dotąd jeszcze nie wiadomo. W każdym razie pożądane byłyby przynajmniej środki tymczasowe (następnie należałoby je utrzymać jako stałe), mianowicie takie, które usunęłyby mitręgę w wypłacie wynagrodzeń asekuracyjnych. Na powolność działań w tej mierze wpływa między innemi nieuregulowanie tytułów własności, najbardziej zaś, jak rzekliśmy, wypłacanie należności z funduszów specyalnych, powstałych ze składek. Środki te, jak wykazała praktyka, zawsze są niewystarczające, gdy tymczasem ogólne fundusze asekuracyjne, przelewane do kapitału zapasowego, są znaczne. Oto dane, dotyczące funduszów asekuracyjnych w Królestwie Polskiem, według źródeł urzędowych:

Lata	Suma ubezp. w tysiącach [illegible]	Zebrano [illegible] w tys. rs.	Straty pogorzelowe w tys. rs.	Kapitał zapasowy w tys. [illegible]
1889	398,402	3,530	3,512	2,173
1890	404,490	3,627	3,082	2,393
1891	409,069	3,524	2.878	2,855
1892	416,609	3,616	3,380	2,980
1893	416.564	3,751	3,117	3,279

Widzimy zatem, że w ostatnim roku sprawozdawczym zebrano składek rs. 3,751,000 rs., a kapitał zapasowy wynosił 3,279,000 rs. Składki w jednej tylko gub. Warszawskiej czynią przeciętnie [illegible] mil. rs. Pomimo pokaźnej sumy kapitału zapasowego, pogorzelcy muszą miesiące i lata wyczekiwać na wypłatę wynagrodzeń, dlatego, że wypłaty owe dokonywane są z funduszów specyalnych, przy nietykalności kapitału zapasowego, przeniesionego do instytucyj stołecznych.

Projekt reformy ubezpieczeń rządowych w Królestwie Polskiem jest już opracowany, ale to nie usuwa możności zmian i ulepszeń, dopóki projekt nie stał się czynem, przez prawo uświęconym. W ogólnych zarysach reforma ministeryalna tak się przedstawia: Zamiast samodzielnych zarządów w każdej gubernii, będzie otworzony ogólny zarząd dla całego Królestwa Polskiego. Ma być powołana do udziału w organizacyi ludność miejscowa, tj. przedstawiciele z wyboru. Wymagane będzie obowiązkowe wzno-

szenie nowych budowli po zniszczonych przez pożar. Wolno ubezpieczać nieruchomości według rzeczywistego szacunku, bez ograniczania jakiemikolwiek normami. Wreszcie ma być uproszczona cała procedura ubezpieczeń; skąd można wnosić, że uproszczenia doczeka się także procedura wypłaty wynagrodzeń.

Jak widzimy, reforma jest oparta na racyonalnych podstawach, więc tylko życzyć należy jaknajrychlejszego wprowadzenia jej w życie. Pośpiech ten jest wielce pożądany, gdyż cały kraj cierpi pod względem ekonomicznym, a ludność włościańska przy dzisiejszym systemie wpada w ruinę. Sekcya rolna, jedyna u nas przedstawicielka życia na roli, powinna tę sprawę wziąć do serca i wyjednać jaknajrychlejsze wprowadzenie projektu w czyn.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Poznań, 9 marca.

Komisya kolonizacyjna. — Wyniki działalności 11-letniej. — Germanizacya za pomocą kościoła. — Kwestye narodowościowe w sejmie poznańskim. — Przedstawiciele wielkiej własności ziemskiej.—Ofiara nienawiści hakatystów. — Brzegi Warty.

Komisya kolonizacyjna, stworzona przez ks. Bismarcka w celu walczenia z żywiołem polskim w Poznańskiem i Prusiech Zachodnich, skończyła jedenasty rok swego istnienia. Warto więc przyjrzeć się dziejom tej walki. W pierwszym roku (1886) rozwinęła ona gwałtownie swoją działalność, chciała ryczałtowo wydrzeć ziemię Polakom. Jakoż przeglądając sprawozdanie, widzimy, że największa ilość gruntów zakupionych przypada właśnie na ten rok pierwszy. Wszyscy bankrutujący właściciele ziemscy zaofiarowali swoje majątki, które kupowano pospiesznie i płacono dobrze. Starano się bowiem wyzyskać chwilę stosowną, zanim się rozpocznie agitacya śród ludności polskiej, nawołująca do zachowania ojcowizny. Gdy to pierwsze śmiecie obywatelstwa polskiego odpadło i poszło na bruki miejskie, gorączka kupna zaczęła stopniowo słabnąć. Komisya znalazła się w wielkim kłopocie — nie mogła sobie dać rady z zagospodarowaniem ziemi nabytej. Przytem upadający ziemianie niemieccy wystąpili do komisyi z natarczywemi roszczeniami, że ratuje ona zbankrutowaną szlachtę polską, gdyż tym, którzy pierwej czy później ulegliby przymusowej sprzedaży, pozwala, dobrze płacąc, przynajmniej cząstkę mienia ocalić; tymczasem Niemcy zrujnowani muszą ginąć materyalnie bez żadnej pomocy. Skutkiem takich skarg i nalegań, komisya zaczęła nabywać ziemię także od Niemców i ogółem zakupiła od nich około 10,000 hektarów.

Z kupnem szło dobrze, zwłaszcza że komisya rozporządzała olbrzymią sumą — stu milionami marek. Ale przecież tej ziemi nabytej nie można było zostawić odłogiem lub oddać pierwszym lepszym hołyszom i niedołęgom, którzy wyniszczyliby ją i zamienili kraj na pustynię. Należało grunty zagospodarować, podzielić i rozkolonizować, następnie rozprzedać te kolonie. Zcentralizowanie gospodarki w instytucyi, obracającej znacznym kapitałem, zdawałoby się, powinno stworzyć na roli przemysł wielki, zmniejszyć koszt produkcyi i dać duże odsetki. Albo też — komisya, urządzając wielkie przedsiębiorstwo spekulacyjne za pośrednictwem działkowania gruntów, powinna grubo zarobić. Tymczasem nie zarobiła ona nic, ani jako wielki kapitalista-przedsiębiorca rolny, ani jako spekulant-parcelant. W pierwszym wypadku system biurokratyczny pochłonął dużo pieniędzy i nie przyniósł żadnych owoców; w drugim — komisya, rządząc się celami nie ekonomii, lecz polityki, nie mogła sprzedawać działek gruntu żywiołowi najodpowiedniejszemu, bo miejscowej ludności włościańskiej. Śród niej można byłoby znaleźć licznych i skorych ochotników do kupna. Zrośli się oni z ziemią i zżyli z nią, bo na niej się urodzili i wychowali. Komisya jednak musiała odrzucać te korzystne oferty, pochodzące od ludności polskiej, a natomiast szukać Niemców. W robocie swojej popełniła jednak dużo błędów, urządzała kolonie zanadto kosztowne, budynki wznosiła zbyt drogie i wogóle prowadziła gospodarkę z wielkim nakładem. Przytem musiała szukać chłopów niemieckich, sprowadzać ich z zachodu i południa. Ci jednak szli opieszale i niechętnie, gdyż musieli się nałamywać do innych warunków. Skutkiem tego w ciągu lat 11-tu osadzono zaledwie 1,975 kolonistów niemieckich; 44% pochodzi z Poznańskiego i Prus Zachodnich, tj. stanowi żywioł, na który, jako czynnik germanizacyjny, mniej można liczyć. Według sprawozdania, w r. z. ofiarowano komisyi na sprzedaż z wolnej ręki 81 większych majątków ziemskich i 27 gospodarstw włościańskich, w tej liczbie było Polaków: 25 właścicieli dóbr większych i 18 gospodarstw włościańskich. Niemców: 57 właścicieli dóbr większych i 9 gospodarstw włościańskich. Komisya, jak rzekliśmy, z każdym rokiem coraz mniej nabywa ziemi. W roku ubiegłym zakupiła ogółem 3,519 hektarów (tj. o 4,046 mniej, niż w roku poprzednim). Z cyfry tej przypada na okrąg regencyjny poznański 1,500 hektarów, tj. majątki: Opaluścin, nabyty od szambelana Morawskiego i Tośnica od p. Chełkowskiego; na obwód regencyjny bydgojski 1,373 hek. i na kwidzyński — w Prusiech Zachodnich — 644. Z rąk polskich ogółem komisya nabyła w r. z. 1,804 hekt., od Niemców zaś 1,715. Dodajmy, że bank ziemski, który działa przy pomocy bardzo skromnych środków, potrafił w ciągu siedmioletniego istnienia stworzyć osad trochę tylko mniej, niż komisya kolonizacyjna.

Do charakterystyki niepowodzeń komisyi jeszcze należy dorzucić parę szczegółów, stwierdzających kłopoty z braku materyału kolonizacyjnego: w roku ubiegłym prowadzono układy z 275 kandydatami na gospodarzy w osadach; z tych 78 w ostatniej chwili zrzekło się kupna. Dodajmy jeszcze, że wybór wielce utrudnia i ta okoliczność, iż komisya usiłuje werbować żywioł kolonizacyjny przeważnie śród Niemców-protestantów. Tak np. z ogólnej liczby 1,975 kolonistów jest 1,844 protestantów, a tylko 131 katolików. Dla zachęty wybudowano osiem kościołów protestanckich i dziesięć domów modlitwy. Wszystkie te „wyższe“ cele znacznie zwiększyły koszt organizacyi osadnictwa niemieckiego. Zwiększyło także pozycye wydatków niefortunne zabudowywanie kolonij. W okresie 1888—1892 komisya wzniosła 170 domów, których przeciętny koszt uczynił po 500 marek w stosunku do 1 hektara ziemi. Okazało się wszakże, iż wszystkie te domy są ciasne i niewygodne dla osadników; musiano więc wznieść 40 domów nowych obszerniejszych. I w tych jednak znaleziono dużo braków i niedogodności. Komisya tedy usunęła prywatnych przedsiębiorców, którymi się posługiwała i zaczęła sama budować domy, wzniosła ich 20; ale jeszcze nie wiadomo, czy zadowolą one całkowicie kolonistów.

Oto, jakie ostateczne są rezultaty działalności komisyi: do dwu prowincyj, liczących około 3½ milionów mieszkańców, sprowadzono 5,500 Niemców kosztem 15 milionów marek. Na czysto stracono 11 milionów marek, na całą zaś akcyę wydano 70 milionów. Tak więc jedenastoletnie mozolne zabiegi przyniosły tylko same straty i zawody. Czy jednak takie rezultaty zniechęcą germanizatorów? Pójdą oni zapewne dalej tą drogą; rządowi niemieckiemu nie zabraknie milionów marek, a hakatyści będą silnie współdziałać.

Niedawno *Gazeta Toruńska* i *Orędownik* puściły za pośrednictwem swych szpalt pogłoskę, jakoby narady pomiędzy ks. biskupem wrocławskim, kardynałem Koppem, a biskupem chełmińskim, dr. hr. Rednerem, miały na celu tłumienie „agitacyi polskiej.“ Duchowieństwu obu tych dyecezyj podobno nie wolno będzie utrzymywać stosunków z prasą polską. Pogłoska ta zapewne pochodzi stąd, że zarówno Kopp, jak i Redner są zaciekłymi wrogami żywiołu polskiego i wytknęli sobie program germanizacyi za pomocą kościoła. Czy istotnie narady tych działaczów mają na celu sprawy polityczne, trudno stanowczo twierdzić. Sam atoli fakt podejrzenia już jest wielce wymownym; dowodzi on bowiem, jak dalece stowarzyszenie germanizacyi nie przebiera w środkach i wzburza umysły.

Dn. 21 lutego w gmachu stanów prowincyonalnych naczelny prezes, hr. Willamowitz-Möllendorf, otworzył sejm W. Ks. Poznańskiego. W tem ognisku, stojącem dotychczas zdala od wszelkich spraw politycznych, kwestye narodowościowe zagnieździły się obecnie, gdyż większość niemieckich członków sejmu należy do stowarzyszenia germanizacyi.

Naczelnik wydziału krajowego (*Landeshauptmann*), p. Stefan Dziembowski, Niemiec, noszący nazwisko polskie, jest obecnie marszałkiem sejmu prowincyonalnego i zarazem członkiem wrogiego dla Polaków stronnictwa wolno-konserwatystów w sejmie pruskim i parlamencie niemieckim. Obowiązki wice-marszałka objął Polak, A. hr. Żółtowski. Sejm składa się z przedstawicieli wielkiej własności ziemskiej, gmin wiejskich i miejskich. Oczywiście w pierwszej kategoryi przeważają Niemcy, gdyż „czoło narodu,“ szlachta polska, niegdyś zamożna, posiadająca wielkie dobra, jeszcze przed stworzeniem komisyi kolonizacyjnej bezustannie wyzuwała się z mienia. Następnie komisya podała im dłoń, nie pozwoliła przywdziać torby dziadowskiej. Stała się czyścicielką i wymiotła znaczną część tych odpadków z roli, dała im możność przejadać resztki gotowizny w mieście i rozprawiać o tem, jak gospodarować należy, ażoby się utrzymać przy ziemi.

Ofiarą nienawiści hakatystów jest obecnie poseł m. Poznania, p. Jaeckel, który w sejmie pruskim ujawnił właściwe cele tego stowarzyszenia, mianowicie, że związkowi nie chodzi o obronę interesów niemczczyzny, lecz o wzniecanie coraz silniejszego ognia nienawiści rasowych. Śmiałka obrzucono oszczerstwem. Struga błotnista popłynęła na niego także ze szpalt organu hakatystów, *Berliner Neueste Nachrichten*: „Rozumiemy — woła on — że *kupiec* Jaeckel, jako główny akcyonaryusz ogrodu zoologicznego, przeciwdziała zakazowi koncertów wojskowych ze względów materyalnych. Ale *poseł* Jaeckel nie ma wcale prawa z powodu tego zakazu wyszukiwać sobie pretekstu do mowy politycznej, za którą wstydzić się musi niemczyzna w Poznańskiem. Mównica Izby deputowanych nie jest właściwem miejscem do przeprowadzania osobistych interesów materyalnych. Koła niemieckie, zainteresowane pod względem finansowym, powitały z ogólnem zadowoleniem zakaz koncertów z programem polskim. Pruskie kapele wojskowe nie mogą czynić ustępstw roszczeniom polskim na rzecz interesów prywatnych.“

Bezczelność organu Hansemana przechodzi wszelkie granice niegodziwości, bo przecież wszyscy wybornie wiedzą, że p. Jaeckel nie może tu mieć na względzie prywatnych interesów finansowych, gdyż od początku istnienia ogrodu zoologicznego oddaje mu się zupełnie bezinteresownie. Nie może on być także „największym akcyonaryuszem," gdyż ogród nie jest oparty na akcyach; są tylko *członkowie*, opłacający 12 marek rocznie. W sprawie koncertów zwołano zebranie członków Towarzystwa „Ogród zoologiczny," na którem uczestnicy Niemcy znaleźli się bardzo taktownie, gdyż przemawiali za równouprawnieniem języka polskiego w tej instytucyi. Z Polaków weszli do zarządu d-rowie. Franciszek Chłapowski, D Kaczkowski i Kohler.

Mieszkańcy Poznania z niecierpliwością oczekiwali wyniku zabiegów w sprawie wzmocnienia brzegów Warty, a gorączka tej niecierpliwości rosła w miarę zbliżania się powodzi. Niestety, rezultat starań niepomyślny! Odrzucono wniosek ogroblenia rzeki kosztem państwa, pod pozorem wielkiego ryzyka. Ministeryum nie chciało uwzględnić owych żądań jeszcze i dlatego, że inne miasta, zachęcone przykładem Poznania, zaczęłyby rząd atakować. Tym sposobem uboga ludność polska, mieszkająca nad brzegami Warty, nadal pozostaje w ciągłej trwodze o swoje życie i mienie.

cl.

Z GALICYI.

Krótkotrwałość sejmu. — Wniosek d-ra Bernadzikowskiego. — Ustawa drogowa. — Szematyczne obliczenie. — Dlaczego dyskusya nad wnioskiem Bern. była pokorną? — *Lasówki* i procesy. — Lichwa prywatna i rządowa. — Szkolnictwo dziś. — Uniwersał do profesorów gimnazyalnych. — Charakter wyborów. — Wschodnia i Zachodnia grupa: różnice. — Kandydaci kuryi V we Lwowie. — Kandydaci miasta Lwowa.

Tegoroczny sejm galicyjski był bardzo krótkotrwały, bo przeciągnął się mało co więcej nad trzy tygodnie. Byłbym już o nim nie mówił, gdyby nie konieczna potrzeba połączenia poniekąd jego pracy z teraźniejszą sytuacyą przedwyborczą — bardzo smutną. Na jednem z pierwszych posiedzeń poseł ludowy, dr. Bernadzikowski, wystąpił z wnioskiem adresu do tronu. Jest to zwykły środek, gdy zachodzi potrzeba przeprowadzenia wyczerpującej dyskusyi o położeniu kraju. Sejm wniosek odrzucił, a tem samem uznał, że jest ze wszystkiego, jeżeli nie zupełnie zadowolony, to o tyle przynajmniej, że to, co jest wystarcza i— nie należy rządowi robić trudności. Uzasadniając swój wniosek, dr. Bernadzikowski proponował: usunięcie języka niemieckiego z dziedziny administracyi rządowej w Galicyi (telegraf, poczta, żandarmerya, domeny), upaństwowienie kolei Północnej i zaprowadzenie języka polskiego, obronę Szląska, wobec zachcianek zniemczenia go. Sejm uważał widocznie, że to wszystko— niepotrzebne. Nie wchodzę w pobudki — dość, że wniosek upadł, a z nim upadła możność wyświetlenia i ocenienia stanu i stosunków kraju. Czy złe wskutek tego usunięto? Bynajmniej. Przykryto je frazesem, że są sprawy ważniejsze, a tymczasem ono z pod stańczykowskiego okrycia bezustannie łeb swój wysuwa. Dziś pierwiastków palnych i niezadowolenia nagromadziło się tak dużo, że mimowoli trzeba przed sobą postawić pytanie: co jutro będzie — do czego dążymy?

Ktoś powiedział, że tegoroczna sesya sejmowa była bezpłodną. Przeszła tylko ustawa drogowa, ale ona w swojej nowej szacie nikogo nie zadowoliła i nikomu pożytku nie przyniesie. Schlebiające lub niedołężne dziennikarstwo tutejsze stara się ją wynieść na piedestał poświęcenia się obywatelskiego, ale pod słowami pełnemi bombastycznych frazesów czuć — próżnię. Zapoznam z nią czytelników *Prawdy* w najkrótszych słowach. Od 12 lat ludność wiejska obowiązaną była do odrabiania „szarwarku" czterech dni rocznie dla utrzymania dróg powiatowych. Ciężar ten obarczał tylko wieś, gdyż w miastach i miasteczkach redukowano szarwark na dodatku do podatku i rozkładano go na opodatkowanych.

Czemże właśnie jest ta ulga drogowa? Jak wygląda w rzeczywistości? Dotychczas odrabiał szarwark tylko chłop, a obszar dworski płacił [illegible] dodatku do podatku. Teraz chłop robić będzie dwa dni, ale natomiast będzie płacił na równi z obszarem dworskim 10% dodatku od podatku. Dawniej obszar dworski obowiązany był dostarczyć materyału na mosty w wysokości 5% od podatku; dziś dodatek ten skasowany, to znaczy, że zarząd gminny będzie musiał materyał kupić za gotówkę. Zróbmy maleńkie obliczenie, jak to *zrównanie* podatków wypadnie. Chłop robi mniej o dwa dni, czyli, że ulga wynosi 50—60 grajcarów rocznie, ale natomiast płaci 10% od podatku. Jeżeli podatek równa się 15 fl., tedy dodatek drogowy wyniesie 1 fl. 50, czyli odtrąciwszy wartość robocizny, wypadnie mu zapłacić więcej, niż przedtem 90—1 fl., *plus* kupno drzewa materyałowego. Wprawdzie ustawa zastrzega, że ubodzy mogą być wolni od podatku, ale zanim zwolnienie przyjdzie, trzeba będzie czterokrotny podatek odrobić. Tak wygląda szematycznie przeprowadzony rachunek ulg z ustawy drogowej płynących. Jest to tylko przestawienie cyfr — nie więcej. Wszystko prawie pozostało po dawnemu, a ulgi zeszły do zera, gdyż sprawiedliwość polega. nie na tem, ażeby wszyscy równy podatek opłacali, lecz równomierny, stosunkowy do zasobów sił produkcyjnych i majątku. No, ale my mamy swoją własną logikę, której wzorem jest p. Wojciech Dzieduszycki, i z tem nam dobrze.

Że Bernadzikowski miał racyę, gdy pragnął przy adresie wywołać dyskusyę o położeniu kraju, to wątpliwości nie ulega. Dzieją się u nas anormalności tak niezgodne, ani z konstytucyą państwową, ani z naszą polityką ekonomiczną, ani wreszcie z powagą instytucyj, mających czuwać nad naszym rozwojem umysłowym i nad sprawiedliwością, że ci tylko mogą być zadowoleni ze wszystkiego, którzy — o sobie myślą. Będę dowodził tego nie słowami, lecz faktami, uprzedzając z góry, że nie zdołam nawet wyczerpać faktów.

Nie wiem, czy w jakiem innem państwie, oprócz Galicyi, istnieją *lasówki*? Mianem tem nazywają włościanie skargi, wytaczane przez zarządy lasów kameralnych tym biedakom, którzy chodzą po zbiórkę. Naturalnie, idzie najuboższa ludność po to jedynie, ażeby uzbierać trochę suchych gałązek, przez wiatr złamanych i na ziemi leżących — a więc przeznaczonych na zgnicie. Trzeba jeszcze i to dodać, że w lasach rządowych, będących niegdyś własnością starostw, drzewa na opał włościanom nie sprzedają, tj. drzewa dostępnego dla ich kieszeni; ani sągowego, ani z pnia chłop nie kupi, bo go na to nie stać, a przecież żyć trzeba, jadło bodaj raz na dzień ugotować należy. Łatwo zrozumieć taką pozycyę bez wyjścia. Chłop nie idzie z siekierą rąbać, nie idzie kraść, lecz idzie uzbierać trochę okruchów— bez pozwolenia. Wiązka zebrana ocenia się skrupulatnie i pomimo najlepszej chęci szacującego, wartość jej nie przenosi nigdy 15—20 centów. Ściąganie nawet tak drobnej sumy z chłopa przedstawia poważne trudności; tu przychodzi z pomocą c. k. prokuratorya skarbu i szkody wyrządzone każe wpisywać do *tabuli chłopa*, obliczając przytem koszta zapisu na 3—4 złr. Chłop o niczem nie wie, a tymczasem w jego tabuli wyrasta dług 3,15—4,15 złr. Jakże nazwać tego rodzaju postępowanie? Wstrętnem zdzierstwem, a trudno lepiej rzecz charakteryzujący wyraz znaleźć. Bo jeżeli lichwiarzem nazywamy człowieka, który liczy 100% i pociągamy go do odpowiedzialności publicznej, to cóż powiedzieć o rządzie, który sam sobie każe płacić 500% i drogą prawidłowego sądu intabulacyę przeprowadza? Na tem nie koniec. Gdyby zwykły wierzyciel wniósł prośbę o zaintabulowanie na posiadłości dłużnika 15 cent., sąd odmówiłby niezawodnie, ale c. k. prokuratorya ma prawo żądać — nadużycia.

Gdyby taką sprawę, której nikt nie broni, a która jest poprostu krzyczącą niesprawiedliwością, podniósł jaki odważny poseł w Radzie państwa, powiedzianoby mu z powagą, że zdradza „interesy kraju."

O szkolnictwie i szkołach naszych dałoby się wiele, bardzo wiele powiedzieć. Tu i owdzie odzywają się głosy bardzo ostrej krytyki, ale wkrótce zapewno przyjdzie do tego, że działalność rady szkolnej zostanie poddaną słusznej, ale bardzo ciężkiej dla niej ocenie. Wiem, iż nad tem ludzie już pracują. Wnioski wysnute z tej oceny będą bardzo bliskie tego, co niedawno powiedział poseł Gniewosz, że szkolnictwo nasze cofa się, pomimo pozorów postępu. Stoi ono teraz na stanowisku nie polskiem, lecz niemieckiem, nie otwiera drogi do nauki, lecz ją zamyka, nie wyrabia charakterów, lecz je wypacza.

Niezbyt dawno nauczycielstwo ludowe podniosło formalny bunt — o prawo do życia, gdyż pensye są tak śmiesznie małe wobec niesłychanej drożyzny w kraju, że poprostu większej części grozi śmierć głodowa. Nie ściąga się to bynajmniej do nauczycieli ludowych tylko. lecz wogóle do nauczycieli szkół średnich. Rada szkolna zamiast wywalczyć lepsze środki materyalne, teraz wyjechała z okólnikiem, zabraniającym udzielania nauczycielom gimnazyalnym lekcyj prywatnych — dlaczego? Niby dlatego, ażeby cały czas swój poświęcili szkole rządowej. Bardzo pięknie, ale dlaczegóż rząd nie płaci im za cały czas, gorzej jeszcze, bo płaci tyle tylko, ażeby z głodu nie pomarli? Nie ma ani jednego, literalnie ani jednego, któryby nie potrzebował ubocznie pracować, ażeby mógł wyżywić rodzinę. Oczywiście. rada szkolna zezwoli na lekcye prywatne, ale zażąda wpierw upokarzających próśb, a może preliminarza budżetowego każdej rodziny. Doprawdy, trudno zrozumieć, do czego zdążą takie upokarzające ograniczanie wolności osobistej w najpiękniejszem jej zastosowaniu — w nauce?

Wybory do Rady państwa tak pochłaniają uwagę i myśli wszystkich, że w całej Galicyi o niczem innem teraz nie pisze się i nie mówi.

Powiadają, że ks. Sanguszko, który tak niedawno jeszcze zamieniał kontusz marszałka na mundur namiestnika, życzył sobie, ażeby wybory odbyły się spokojnie, ażeby wolność obywatelska nie była krępowaną nigdzie; być może, książę jest człowiekiem prawym bezwątpienia, ale bardzo miękim i bardzo... bardzo... łagodnym. Z trudnością odszukałem mniej więcej stosowny wyraz. Ta jego nadzwyczajna miękość czyni go bezsilnym, nie pozwala mu oryentować się samodzielnie. Ale też w rzeczy samej wybory teraźniejsze w Galicyi są czemś bardzo niezwykłem. Figury dziesięciorzędne pod względem znaczenia i umysłowości, które w społeczeństwie żyjącem normalnie siedzą w cieniu i nie mają nadziei wychylenia się nigdy, tutaj wysuwają się na pierwszy

plan, hałasują, agitują, rzucają frazesami na wszystkie strony i wygłaszają mowy kandydackie do parlamentu. Niektóre z nich będą miały tyle zadowolenia, ile im przyniesie czytanie własnych nazwisk na wielkich plakatach i złudzenie własnych mów; będą wszakże tacy pośród nich, nie lepsi bynajmniej, ale szczęśliwsi, którzy zajmą miejsca przeznaczone dla uczciwych, rozumnych i prawych.

Wyborców możnaby podzielić na dwie wielkie grupy — Galicyi wschodniej i zachodniej. W obu panuje niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy, mniej lub więcej słuszne, ale forma wyrażająca to niezadowolenie i program pracy dzielą je od siebie zasadniczo. Galicya zachodnia skupia się prawie cała pod hasłem solidarności Koła i wspólnej pracy, z zastrzeżeniem wszakże zmiany statutu; wschodnia grupa nie posiada planu jasnego: czuje, że coś dolega i boli, że ludność jest rozdrażniona i niezadowolona, ale zamiast uspokoić się, a potem działać, rzuca się jak raniony odyniec, nie na tego, kto ranił, bo się za dębem ukrył, lecz na tego, który najbliżej stoi. Agitacya przeto tej grupy jest czemś idyotycznem i wstrętnem, zarówno śliną nienawiści, którą plują na wszystkie strony, jak i bezplanowością dążeń. To jakiś nowy objaw hajdamaczyzny politycznej, zewnątrz trochę polerownej, a wewnątrz tak dzikiej, jak i dawna. Złość, zazdrość i brak wszelkiego pohamowania — oto jej cechy. Prowodyrom nie chodzi bynajmniej o to, co mają zdobyć, ale o to, że sąsiad coś ma, więc mu wydrzeć trzeba. Jak koguty, długo trzymane w klatce nagle wypuszczone, tak i oni biją się ze sobą i z innymi; nieprzyjaciołami ich są zarówno ci, którzy miłują prawo, jak i ci, którzy je łamią. W Jaryczowie, Strzałkowie, Stryju, Babicach, w powiecie Sokalskim, w Komarnie doszło do walk krwawych — czy o prawo może? Nie, ono dla tych hajdamaków nie istnieje: budzi się w nich tylko niekiedy duch koliszczyzny. Wobec takiego społeczeństwa jakże tu mówić o pracy obywatelskiej? Obłuda, nieszczerość, chciwość, dzikość, połączone z instynktami lokajskimi: oto cechy moralne grupy wschodniej, która pod hasłem jakiegoś niezrozumiałego i pełnego barbarzyńskich popędów radykalizmu dąży do niewiadomej przyszłości.

W grupie zachodniej nie brak także zachcianek radykalnych, ale są one ujęte w program polityczny, a każde stronnictwo, zarówno ludowe, jak demokratyczne, a nawet stańczykowskie, godzą się na punkcie jedności i wspólności interesów narodowych. Tu szukają drogi do porozumienia się, tam myślą o tem, w jakiby sposób jedno stronnictwo zniszczyć mogło drugie.

Tu występują bardzo widomie dwa prądy, nic wspólnego ze sobą niemające, których rezultaty pracy są wszędzie jednakie: jest to działalność centralnego komitetu krakowskiego i lwowskiego i akcya socyalistów różnej barwy. I jedni i drudzy nie bardzo liczą się z głosem wyborców, a często wcale się nie liczą: zalecają wprost i popierają kandydatów swoich. Nie o interes wyborców im chodzi, lecz o korzyść swego stronnictwa. Komitet centralny, agitujący pod hasłem stańczyków, działa bardzo często wbrew życzeniu wyborców, narzucając kandydata, który się już dał poznać jako przyjazny sługa i dobry pachołek. Jeżeli zjawi się inny, poważny, wówczas obiecują mu zapewniony wybór w innem miejscu, a swego przepchną. W ten sposób odrazu mają dwie pieczenie. Przy takich wyborach Koło polskie zyskuje o jednego więcej zwolennika *statu quo*, parlament posła milczącego, a wyborcy — przedstawiciela, który z nimi nic wspólnego nie ma, tak dalece, że mu niekiedy radzą, ażeby nie przyjeżdżał ze sprawozdaniem, bo będzie obity.

Kurya V-ta we Lwowie jest także w położeniu niezwykłem: nie ma kandydata, chociaż posiada ich kilku. Do niedawna mieli nadzieję powodzenia pp. Kozakiewicz i Breiter, obaj socyaliści z grupy międzynarodowej, z tą różnicą, że Kozakiewicz czasem do narodowości przyznaje się, a Breiter jest zdecydowanym kosmopolitą, chociaż po polsku pisze. I jeden i drugi obiecują stanąć i działać po za kołem. Jeden — Polak, kozackiego pochodzenia, a drugi — Polak z przypadku, bo się w Polsce urodził. Wybór jednego z nich byłby niezawodnie skandalem politycznym i świadectwem niedojrzałości wyborców. W ostatniej chwili wypłynęła kandydatura d-ra Obmińskiego, przyszłego adwokata, i d-ra Mochnackiego, byłego prezydenta miasta Lwowa. Obmiński byłby jeszcze najpoważniejszym i najlepszym. Mochnacki, którego wszyscy szanują, jest człowiekiem przeżytym, starcem, który potrzebuje odpoczynku, nie walki. Prądy nowożytne są dla niego niedostępne; jakimże on będzie obrońcą interesów, których bardzo często nie rozumie? Z miasta Lwowa kandydują: Lewakowski, Piętak i Rewakowicz. Ten ostatni byłby najbardziej pożądany ze względu na prawość charakteru i odwagę cywilną.

Cho.

Z NIZIN SPOŁECZNYCH FRANCYI

II.

Rzecz dziwna, żaden polityk z Izby nie zajął się sprawą małżeństw. W ostatnich czasach wypłynęło kilka nieśmiałych wniosków, ale ani jednego nie dano pod głosowanie lub przynajmniej pod uwagę obradujących. Tylko prywatna życzliwość zakrzątnęła się około tej sprawy. Od r. 1826 ułatwia zawarcie ślubu cywilnego i religijnego w paryskiej dyecezyi Towarzystwo św. Franciszka Régis, założone przez Gossina. Współdziałają sekcye Tow. św. Wincentego à Paulo, ukonstytuowane przy rozmaitych parafiach paryskich. Wybierają one z siebie mniej więcej jeden „komitet małżeński“ na każdy okrąg.

Często, szczególnie śród warstw niższych, pożycie bez ślubu bywa uważane przez obie strony za niezbyt różne od ślubnego. W dzielnicach ubogich, jak La Villette, Belleville, Montrouge, ilość uznań dzieci za swoje jest bardzo znaczną w stosunku do urodzeń. Słabą jest natomiast w stronach Pól Elizejskich i Opery, chociaż w okolicy ostatniej nieprawych dzieci rodzi się najwięcej na całe miasto.

Więc tragedya opuszczonej kobiety odgrywa się nieraz w Paryżu. I tu prywatna dobroczynność przychodzi z pomocą. W ostatnim miesiącu ciąży praca jest niemożebną; to też świadczy się dobrodziejstwo kobiecie, przyjmując ją do „sypialni dla kobiet ciężarnych a niezamężnych“ na ulicy św. Jakóba i do podobnego przytułku św. Magdaleny. Urodzone w Paryżu mogą dostać się na dziewiąty miesiąc do szpitala położniczego „Macierzyńskość“ (Maternité). Lecz po połogu, ledwie nogi zaczną służyć, trzeba wyjść. Nie wiadomo nieraz dokąd i... nie samej.

Dzieciobójstwo jest w tym okresie rzadkie; bardzo wyjątkowo zabija matka dziecię, które karmiła przez dni kilka. Natomiast często — co jest też występkiem — dają je do domu podrzutków. Wprawdzie matki, utrzymujące dzieci przy sobie, pobierają pewną zapomogę z funduszów „Pomocy publicznej,“ ale na uzyskanie jej trzeba wiele czasu. Aby mogły przebyć jakoś ten okres — stwierdzono bowiem, że tylko $^3/_5$ dzieci bywa opuszczone w pierwszym tygodniu życia, $^2/_5$ zaś później — jeden z najzacniejszych filantropów, Gérando, założył przytułek, gdzie przyjmowano są niezamężne matki po wyjściu ze szpitala. Było go za mało, więc na ulicy św. Jakóba utworzono w nowem schronisku dla kobiet i dzieci podobny oddział (mogą one tam bawić trzy dni i trzy noce, nadto otrzymują rano i wieczór talerz zupy), potem, dzięki osobnej donacyi, sypialnię dla położnic wątłych a bez pracy. Nareszcie składki i inny zapis dostarczyły pieniędzy na t. z. „Przytułek macierzyński“ (Asyle maternel), zainaugurowany przez Pasteura. Warunki są tu jeszcze lepsze; domem zarządzają siostry miłosierdzia, a łagodne i ciepłe ich obejście się napełnia otuchą młode matki i podnosi je moralnie. „Natury te — mówi Haussonville — przeciętnie łagodne i miękkie, ulegają z równą łatwością dobrym wpływom, jak złym. Przyzwyczajone do rubaszności swoich kochanków, do naigrawań towarzyszek, są bardzo wrażliwe na współczucie i względy. I nic łatwiejszego, jak obudzić w nich, przynajmniej na jakiś czas, utajone poczucie obowiązku względem dziecka.“

Poszukiwanie ojcowstwa jest wzbronione we Francyi. Hr. Haussonville, zastrzegając się co do równouprawnienia dzieci nieślubnych ze ślubnemi, uważa jednak za obowiązek ojca utrzymywać swe dziecko, zwłaszcza gdy matka jest bez środków. Obowiązek ten winien być w razie potrzeby nałożony przez prawo.

O krok niżej schodzi autor i zastanawia się nad prostytucyą. Nędza, jak dowiodły poszukiwania jego i innych, jest jednym z najważniejszych jej czynników. Ale są wypadki, które należy liczyć na karb lenistwa, wyobraźni pobudzonej powieściami, lubieżności. Jakiekolwiek są powody i w posuniętych nawet okresach upadku, zawsze prawie zachowuje kobieta nieco uczuciowości i wrażliwości. Haussonville zbliska studyował ten dział: to też kilka wspomnień osobistych zasługuje na uwagę. Kreśli on np. wzruszającą scenę, gdzie nierządnica zanosi się od płaczu, bo ojciec jej dziecka zabronił jej niem się zajmować. Inny obraz złej doli godzien pióra Goncourtów:

„Kobieta, która opowiadała mi swoje dzieje, była córką robotnika z Rouen. Ojciec leniwy, rozpity, pracował tylko czasami, a co zapracował, przejadał zdala od rodziny. Czasem wracał do domu na kilka miesięcy. Po każdym powrocie matka zachodziła w ciążę, wreszcie umarła przy dziewiątem dziecku. Tymczasem dziewczęciu wydzwoniło szesnaście lat. Potrzeba było żyć: zamknęło więc wiosnę swego istnienia w swojej pracowni za półtora franka dziennie. Rodzeństwo rozpierzchło się po świecie, ojciec nie wrócił, dziewczyna mieszkała jakiś czas sama, z trwogą, jak przed piekłem, przed małżeństwem. Ale była dość ładną, ognistą i nie mogła długo znosić samotności. Pewnej soboty, otrzymawszy zarobek, wyjechała do Paryża, gdzie ją zapraszał znajomy robotnik.

„Spędzili razem trzy miesiące, potem pewnego dnia on wyszedł i nie wrócił. Ona bez grosza i bez rzemiosła zawierała przez kilka miesięcy nowe stosunki, nareszcie zatrzymana pewnego wieczora, jako bezdomna, pozwoliła „dla świętego spokoju“ „zapisać się“ Odtąd weszła w najgorszą kategoryę niewolnic i zmieniała tylko miejsce.

„A jednak przez jakiś czas promyk świecił w jej życiu. Przywiązała się do człowieka uczciwego, żyjącego z pracy. Długo układali plany wspólnego pożycia, czekając, aż oszczędzą tyle, że będą mogli je uskutecznić. Choroba wszystko pokrzyżowała. Aby ten, którego kochała, nie szedł do szpitala, opuściła swój zakład, pielę-

gnowała go przez trzy miesiące. Lecz śmierć odniosła zwycięztwo. Co złożyła, poszło na słabość i pogrzeb ukochanego; nazajutrz po pogrzebie znów dała się okuć i dźwiga odtąd łańcuch, na pozór spokojnie, w istocie pełna goryczy, urągając dawnym miłościom. Nieprawdaż — kończyła — jest się głupim, kiedy się jest młodym."

Rozprawa o przestępstwach (*La criminalité*) obejmuje całą Francyę. I tu zawarł autor wiele cennych materyałów.

W 1882 ministeryum sprawiedliwości ogłosiło zajmującą pracę znanego statystyka Yvernèsa. Zawiera ona tablice zbrodniczości od r. 1826. Wielce pouczające...

Dowodzą mianowicie, że od 1826 do 1890 (Haussonville uzupełnia dane Yvernèsa cyframi późniejszemi) ilość zbrodni, przestępstw i występków francuskich nietylko nie spadła, ale zwiększyła się i to w niektórych działach w dwójnasób lub więcej.

Na pozór zdałoby się inaczej. Od 1826 do 1830 przypada na rok około 5,376 przestępstw, w okresie 1876—1880 — 3,446, w 1890 — 3,169. Lecz przyczyna nie tkwi w podniesieniu się poziomu moralnego. Przestępstwa, poddawane sądom przysięgłych, są czworakie: 1) przeciw porządkowi publicznemu (tu należą procesy prasowe), 2) przeciw osobom, 3) przeciw własności, 4) przeciw obyczajom. Pierwsza grupa zmniejszyła się, procesy prasowe są obecnie rzadkie. W dwóch następnych administracya wprowadziła tak zwane poprawkowanie — *correctionalisation*. Ponieważ sędziowie przysięgli często dają się porwać obronie, a także temu, że procedura w tym razie skraca się, odsyła ona bardzo znaczną część podsądnych przed doraźne „trybunały poprawcze." Wypadki te z każdym rokiem liczniejsze, nie zostały włączone do tablic.

(C. d. n.).

W. Bugiel.

Dobrze zasłużony los.

Tak więc „Wypisy" Dubrowskiego, owa bezmyślna i niedołężna klejonka urywków i artykułów, posiadająca tylko wartość makulatury, a sprzedawana po cenie arcydzieł, ów opatentowany filtr, który miał odcedzać i zatrzymywać w sobie chorobotwórcze zarazki młodzieży szkolnej w zakresie języka ojczystego — przejdzie prawdopodobnie niedługo do historyi naszego wychowania publicznego. Ministeryum finansów bowiem, pod którego zwierzchnictwem zostaje szkoła handlowa Ronthalera, wykreśliło z listy jej podręczników osławione „Wypisy" Dubrowskiego, jako niezatwierdzone przez ministeryum oświaty. Wkrótce zapewne zostaną one wymiecione z każdej szkoły, którą tak długo zaśmiecały. Na obronę wszakże ich autora przyznać trzeba, że on nigdy nie marzył dla nich o tej godności, jaką przypadkowo pozyskały. Zamierzał tylko ułożyć książczynę, która służyłaby do tłomaczeń.

„Pobytowi."

Niewątpliwie jednem z najważniejszych zadań administracyi w kraju naszym jest wytępienie, a przynajmniej ociełznanie rozpowszechnionego i uzuchwalonego złodziejstwa.

Na tę naszą plagę i tę naszą hańbę składają się rozmaite przyczyny, ale jedną z ważniejszych i możliwych do usunięcia są rozrzucone po kraju siedziby t. z. złodziei pobytowych, skazanych wyrokami sądowymi na przebywanie w pewnych miastach. Okolica, w której znajduje się takie gniazdo przestępców, zostaje nawiedzona straszliwą zarazą moralną. Pozbawieni pracy i środków do życia, a wreszcie nawykli do swego rzemiosła, nietylko kradną sami, ale demoralizują ludność miejscową, którą wciągają do współdziałania w swych wyprawach i operacyach. Stu rabusiów, przysyłanych na pokutę, płodzi tysiące nowych, i tym sposobem rozpościera się szeroko zgnilizna, niszcząca społeczeństwo moralnie i materyalnie.

To też zniesienie kolonii złodziei pobytowych i zastąpienie kary tego rodzaju inną, wzmocnienie bezpieczeństwa na drogach publicznych, powiększenie i lepszy dobór policyi wiejskiej—oto są pierwszorzędne potrzeby kraju.

O Chałubińskim.

Głęboko ukryty w tajemnicach natury ludzkiej leży klucz do tej zagadki: czemu jednostki wyjątkowo uzdolnione i wyjątkowo zacne budzą w niektórych duszach całą gamę uczuć ujemnych, zamiast dodatnich? Czemu one w świadkach swej pracy, zasługi i czynów szlachetnych wywołują zawiść, gniew, często nawet potępienie? Taką jednostką genialną i moralnie dostojną był niewątpliwie „wskrzesiciel umierających" — Tytus Chałubiński. Kto go blizko znał, ten musiał ustawicznie w nim podziwiać nadzwyczajną potęgę umysłu, rozległą wiedzę i bezmierną dobroć. Zdawałoby się, że jeśli kto, to on, który wyświadczył ludziom tyle, tak cennych i w znacznej mierze bezinteresownych usług, będzie wolnym od zarzutów, a już bezwzględnie od lekceważenia. Tymczasem i jego nie ominęło ogólne prawidło. Jeszcze żył, a już rozmaite „fuksy" medycyny, nieopierzone pisklęta Eskulapa świergotały przeciwko jego powadze i nauce, co im nie przeszkadzało we wszystkich cięższych wypadkach choroby zwracać się do niego o pomoc i wyzyskiwać ją należycie. Tę pyszałkowatość, która w potrzebie zamieniała się na bardzo uniżoną pokorę, usprawiedliwialiśmy niedojrzałością umysłową, i tłomaczyliśmy tą przewagą, jaką — według Heinego — ma każdy karzeł, który stanąwszy na ramionach olbrzyma, dalej od niego widzi. We wstrętnych objawach zawiści nie brakło nawet humoru: kiedy wynajmowanemu furmanowi Chałubińskiego zachorował koń i poczciwy doktór, nie chcąc narażać biedaka na koszta, zgodził się używać karety jednokonnej, pewien bystry lekarz zauważył z nietajoną radością: „Chałubiński traci praktykę, bo już jednym koniem jeździ." Na szczęście wielki terapeuta i wielki człowiek, który był dziwnym optymistą względem ludzi, który wszystkich swoich „kolegów" uważał za znakomitych lekarzy i nigdy nie wypowiadał ani słowa nagany nawet o najgorszych partaczach, naprawiając ich błędy, umarł śród swych ukochanych gór, nie dowiedziawszy się, jak go złe języki szczypały. Pomimo że — jak się wyraził jeden z najdzielniejszych doktorów warszawskich — śmierć Chałubińskiego była jak gdyby zdjęciem z wieży zegaru, według którego wszyscy w mieście regulowali swoje zegarki i że obecnie te zegarki terapeutów chodzą rozmaicie — wkrótce o nim zapomniano. Nareszcie odezwał się lekarz, który częściowo go zastąpił, który, zdawało się, był powołanym do oddania mu sprawiedliwości i który — wprawił nas w zdumienie. Podobnego sądu nie spodziewaliśmy się ani o Chałubińskim, ani od dr. Dunina. W *Krytyce Lekarskiej* mówiąc o Matlakowskim, którego rodzaj umysłu i pracy właściwie nie nastręczał wcale punktów do porównania, oświadczył ni mniej ni więcej, tylko że Chałubiński „w stosunku do nauki współczesnej *był zawsze zacofany, stał na zewnątrz niej, niewiele o nią dbając*." Ten lekkomyślnie rzucony kamień nie mógł dosięgnąć swego celu, ale padł po za temi granicami poważnej krytyki, w których możnaby go bez ubliżenia czcigodnemu nieboszczykowi podjąć i zważyć. Gdyby nas nawet nie objaśnił w temże piśmie ujmujący się za pokrzywdzonym mistrzem jego uczeń, dr. Dobrzycki, odgadlibyśmy z tych słów, że dr. Dunin Chałubińskiego nie znał i jego wiedzy nigdy nie mierzył. Gdyby go był znał, z pewnością przekonałby się zdziwiony, jak pewne grono lekarzy, które w obecności naszej ubolewało nad tem, że genialnemu terapeucie „obce są najnowsze wyniki wiedzy" i które za chwilę usłyszało z jego ust dowody, że te „najnowsze wyniki" dawno sobie przyswoił. Tu dla uniknięcia nieporozumień potrzebne jest małe objaśnienie, co należy pojmować przez naukę. Jeżeli chodzi o czytanie broszur, rozpraw, artykułów, wogóle drobnych przyczynków, oświetlających jakiś szczegół, to Chałubiński rzeczywiście takim erudytą nie był i być nie potrzebował. On istotnie nie wyławiał „ciekawych przypadków," nie odszukiwał dla nich komentarzy z podręczników i nie zestawiał „literatury," której tytuły i cytaty wyrównywają rozmiarem tekstowi oryginalnego opracowania. Bo potężne umysły mają właśnie ten zwyczaj, że starają się zaznajamiać tylko z wielkimi systemami i zwrotami swej umiejętności, pozostawiając drobiazgową erudycyę na uboczu. O ile zaś tę wiedzę w szerokich zarysach potrzebują dopełnić, zwracają się bezpośrednio do jej źródła, jak w obecnym wypadku do natury. Chałubiński nie był „zacofanym" w stosunku do mistrzów medycyny, „dbał" o to, co oni powiedzieli, nie czytał wielu książek świeżej daty, ale studyował ciągle i rozumiał doskonale wielką księgę przyrody. Że niewiele napisał, to przeciw niemu nie świadczy, bo naprzód był głównie lekarzem praktycznym, nie zaś teoretykiem, powtóre i Sokrates nie napisał ani wyrazu, a jednakże wywarł doniosły wpływ na swych uczniów. W uczniach Chałubińskiego skutki tego wpływu mogą nie być widoczne, ale niewątpliwie istnieją. Może nie udzielił on im swej nadzwyczajnej intuicyi, ale tej nie udziela nikomu żaden geniusz. Nakoniec jeszcze jedna uwaga: jeżeli my takich ludzi, jak Chałubiński, nazywać będziemy „zacofanymi" i „niedbającymi o naukę," to doprawdy nie wiadomo, z jakiego słownik czerpać należy określenia dla innych i czy my wogóle zdolni jesteśmy do mówienia z szacunkiem o naszych znakomitych i zasłużonych jednostkach.

BADANIA NAUKOWE.

SZKICE Dra L. KUBALI

(Wydanie trzecie).

II.

Do bezpośrednich następstw rokoszu Chmielnickiego, co pustkę, ruinę i zgliszcza zasiał w południowo-wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej, należy zalanie prowincyj północno-wschodnich przez wojska cara Aleksego Michałowicza, oczekującego już oddawna na pierwszy lepszy do zatargu powód. Do pomsty za wyprawy Zygmunta III i Władysława IV na Moskwę nowa dynastya Romanowów przygotowywała się w ciągu lat dwudziestu z niezmierną przezornością celów i wielkiem natężeniem środków. Zawarty w r. 1634 „wieczny" pokój w Polanowie okupiony był za drogo, bo ustępstwem na rzecz Polski Smoleńska i Siewierszczyzny; wszystkie więc usiłowania skierowano odtąd ku temu, aby zreformo-

wać wojsko, ściągnąć tłumy oficerów cudzoziemskich, pomnożyć i ulepszyć „armatę.“ Do wystąpienia obrano chwilę najdogodniejszą, kiedy ogólne powstanie na Ukrainie wyczerpało w ciągu lat sześciu siły Rzeczypospolitej i kraj rzuciło na pastwę anarchii szlacheckiej, popłochu ludności wiejskiej i swawoli niepłatnego żołdactwa. Wojewoda smoleński, Filip Obuchowicz, wcześnie ostrzegał króla i stany, że trwoga się zbliża, że Smoleńsk jest bez należytej obrony i żywności. Ale Rzeczypospolita, po złamaniu umowy zborowskiej ze „zbuntowanym chłopstwem“ wciąż tylko myślała o tem, jakby hultajstwo ukraińskie napowrót zaprządz do brony i pługa... A myśli tych nie wybiła sobie z głowy nawet wtedy, gdy car Aleksy, pod koniec maja 1554, stanął w sto tysięcy doborowego żołnierza pod murami Smoleńska.

W szkicach d-ra Kubali mamy zaledwie zapowiedź i przedsmak tych godów. W styczniu 1650, w pięć niespełna miesięcy po zawarciu w Zborowie nieznośnego, bo obłudnego pokoju z hanem tatarskim i Chmielnickim, stanęło w Warszawie wielkie poselstwo carskie, złożone z dwu Puszkinów (Jerzego i Stefana), oraz diaka Gawryła Leontiewa, a to w celu *potwierdzenia* wiecznego pokoju polanowskiego.. „i w innych sprawach.“ Owemi innemi sprawami były od lat kilkunastu ciągnące się kwestye tytułów carskich, nieuwzględnionych przez niektórych panów polskich i litewskich, oraz żądanie spalenia kilkunastu broszur i książek, wyrażających się zbyt poufale o zmarłym carze Michale Feodorowiczu i o jego ojcu metropolicie Filarecie. Naturalnie, był to jedynie pretekst. Puszkinowie wyłajali urzędników koronnych i litewskich, wymogli od nich przyrzeczenie ukarania na gardle (nie żyjących od lat kilkunastu) gwałcicieli czci carskiej i wyjechali z Warszawy, dobrze ją wpierw zlustrowawszy w porze, „kiedy się sejm rozchodził i toczyły się układy z niepłatnem wojskiem.“ W parę lat później, mianowicie 27 lipca 1553 r., w chwili, gdy się przygotowywała nowa wyprawa na Chmielnickiego, zgłosiło się do Lwowa, gdzie wtedy król i panowie rada się znajdowali, drugie poselstwo wielkie, księcia Repnina-Obolenskiego w 600 koni. Cel jego wiązał się najprościej z poprzedniem. W Warszawie, w r. 1550, obiecano Puszkinom, że król na najbliższym sejmie będzie sądził tych wszystkich, którzy carowi tytułów ujęli lub ojca jego nazwali Miszą Filaratowiczem, zamiast, jak być powinno: Michajło Fedorowicz. Stosownie do owego przyrzeczenia odbył się na sejmie 1562 r. sąd na „zmarłych,“ w obecności posłów carskich, umyślnie na te sądy wysłanych. Posłowie, niezadowoleni z wyroku, założyli protest i dekretów przyjąć nie chcieli. Wyprawiono wraz z nimi dwóch posłów, którzy carowi Aleksemu mieli dekreta królewskie przedstawić i wykazać, że wyrok był sprawiedliwy. Tym odpowiedział car, że wyśle posłów wielkich do króla, „którzy kary na winnych *skutecznie* domagać się będą...“ Skuteczność tę Repnin-Oboleński przywoził obecnie pod postacią wymowniejszych jeszcze, niż przedtem poswarek. Hetmanów polskich, wielkich i małych, obezwał bez ceremonii „głupcami,“ o Rzeczypospolitej wyraził się niemal w ten sposób, że trzebaby być nie wiem kim, nie zaś monarchą prawowiernym, aby chcieć z nią w przymierze wchodzić; wyszydził sejmikowe narady panów, jako wymysł wykrętny na wypadek, gdy ani słusznemu żądaniu szlachta zadośćuczynić nie chce, ani do uczciwej bitwy stawać nie ma ochoty; wreszcie zamknął spór słowami: „Nie zakładajcie mi uszu waszemi swobodami i przywilejami. Swobody i przywileje wasze są na języku i papierze, a tymczasem wasz nierząd rękami dotknąć można..“ Chmielnickiego, po przejrzeniu dowodów, że nietylko carowi, ale i sułtanowi poddał się, Oboleński obdarzył tytułami „pies, łotr, rozbójnik, zdrajca, oszust“ — od instrukcyi jednak swojej odstąpić nie chciał. W trakcie nadbiegła wiadomość, że pod Smoleńskiem gromadzą się wojska carskie. Król, na tę wiadomość, kazał wstrzymać odjazd posłów do października, ale Oboleński, dowiedziawszy się o co chodzi, nie czekał solennej odprawy i wyjechał ze Lwowa, a „zabierając po drodze, z niesłychaną zuchwałością, podwody, szybko zmykał do Moskwy“ (II, 223).

Nadmiernem wysileniem żywotności, zdumiewającą dzielnością oręża, częściowem ustępstwem ziem pogranicznych, zobowiązaniem się do powołania na tron polski cara Aleksego lub jego następców, Rzeczpospolita uwolniła się na czas jakiś od nieprzyjaciół *zewnętrznych*; natomiast cios *wewnętrzny*, zadany jej przez wybuch wojny ukraińskiej, nie został powetowany — rana to była śmiertelna. Klasa panująca w Polsce, jakkolwiek stosunkowo bardzo liczna (do 3 milionów głów sięgająca, według Starowolskiego), wyczerpała się w bojach, wpadła w omdlenie, zaczęła się wynaturzać powoli. Ratunek najprostszy i najdzielniejszy: zasilenie i odmłodzenie krwi przez dobór naturalny z warstw niższych (lub postronnych, obcych), był już dawniej szczelnie obwarowany i niemal zamknięty. Bunty kozackie wzmogły istniejący ten rozbrat między szlachtą a ludem, uczyniły go niemożliwym prawie do zażegnania, „nietylko w województwach objętych rokoszem ukraińskim, ale na całym obszarze Rzeczypospolitej“ (I, 313). W początkach rebelia wschodnia nie dotykała ciemnych, ostro w karbach posłuszeństwa trzymanych mas gminnych w zachodnich częściach państwa. W pewnych razach i warunkach liczyć nawet było wolno na gatunek „patryotycznego“ antagonizmu włościan rdzennie polskich względem powstańczych usiłowań czerni „ruskiej,“ hajdamackiej. Przecudnym jest z tego punktu epizod z bitwy zborowskiej, kiedy rycerstwo, do połowy wycięte przez Tatarów, rozpoczęło z nimi hańbiące rokowania, a kozacy, chcąc „rozwiązanie“ przyśpieszyć i niedobitków zdmuchnąć, napadło na obóz polski, w którym król, dobywając z siebie resztek sił, wypadł z namiotu, jak stał, z szablą w ręku i wołał: „Miłościwi panowie! nie odstępujcie mnie, nie opuszczajcie ojczyzny...“ Ale na to nie było prawie komu odpowiedzieć. Świadek naoczny zapewnia, że kozactwo wdarło się już było do wnętrza i klęska warneńska wisiała nad głowami, zaglądała do oczu. Wiedy to „czeladź luźna (pacholki, łyki, golizna podła) z miasteczka wyszedłszy, gwałt Tatarów zbiła, trzy chorągwie kozakom odjęła i ze trzech szańców ich wypędziła, a tak wielkie zamieszanie wśród nich wywołała, że aż za przeprawę wyparła... Eodem fero momento drugi pułk luźnej czeladzi wpadł na tych kozaków, co od wody obozu dobywali i między sadami umocowani naszych barzo z dział psowali, a tak temu drugiemu bufcowi Pan Bóg pobłogosławił, że nieprzyjaciół z szańców wygnali i dwie chorągwie odebrali... Temi dwiema wycieczkami przybyło serca *naszym*“ (I, 188). Atoli, działo się to w pierwszych chwilach rebelii motłochu ukraińskiego. W miarę, jak rycerstwo, paktując z kozakami i złote góry im obiecując w złej potrzebie, a siekając ich bez miłosierdzia, do jarzma zapędzając w potrzebie lepszej, wracało w domu do starej zawsze piosenki względem swej „luźnej czeladki,“ powstawała w duszach gminu wątpliwość, budziły się uczucia rozmaite, w ogólności wcale nie zborowskie...

Oto np. jesteśmy w najsławniejszej, na cały ówczesny świat rozgłośnej dobie bitwy pod Beresteczkiem. Po Grunwaldzie, nie ma większego faktu w dziejach Europy wschodniej. Czterykroć sto tysięcy jazdy w boju! —sto tysięcy z jednej strony, trzykroć — z drugiej... Trudno o coś podobnego nawet pod koniec wieku XIX... „O świcie 29 czerwca ruszyła cała jazda królewska w pole... Dzień był jasny jak nadzieja zwycięstwa... O 2-ej godzinie po północy, 30 czerwca, słuchał król mszy świętej... Pyszna linia bojowa wojska królewskiego ciągnęła się całą ruską milę... Za chwilę usłyszano trąby i bębny... Król zrobił krzyż w powietrzu i dał znak do bitwy... Ośmnaście chorągwi wybiegło z frontu lewego skrzydła; na czele książę Jeremiasz z gołą szablą w ręku, bez zbroi i bez czapki na głowie, pędził jak w tańce po piaszczystej błoni. Wicher niósł przed nim tumany piasku nieprzyjaciołom w oczy, słońce biło w nich promieniami... Chorągwie polskie wpadały — i znikały w dzdennym, bezbrzeżnym tłumie nieprzyjaciół. Pył poruszony kopytami końskiemi i tuman piasku wichrem niesiony, owinął całą tę masę; w czarnej mgle nie widać było nikogo i zdawało się jakby już stamtąd nikt nie miał powrócić... Na pomoc Wiśniowieckiemu leciały województwa krakowskie i sandomierskie, obożny koronny, Szczawiński, z pułkiem swoim, i szlachta łęczycka z prawego skrzydła. Pułk za pułkiem leciał i ginął w tej trąbie powietrznej z kurzu i piasku...“

Lecz oto kartka odwrotna. Podczas wyprawy Beresteckiej, w r. 1551 — opowiada dr. Kubala tym razem osoble, bez zapału, bez blasku — chłopi wielko i małopolscy, podburzeni przez Chmielnickiego, podnieśli bunt i okazali gotowość do rabunku, do rzezi po dworach nieobecnych panów... Już na kilka miesięcy przed wyjściem pospolitego ruszenia rozesłał był Chmielnicki po *zachodnich* województwach tysiące emisaryuszów z rozkazem agitowania pomiędzy chłopstwem.. Po wsiach, po domach szlacheckich, po miastach zjawiło się mnóstwo obcych włóczęgów i nieznanych żebraków, zdrowych, silnych, bezczelnie śmiałych. Pomiędzy ludem zaczęły się rozchodzić wieści dziwaczne, niepodobne do prawdy, a jednak uporczywie powtarzane, że szlachta rusza przeciwko królowi, że wyciąć chłopów zamierza... W wielu miejscach płonęły zapowiadane pożary, mnożyły się tajemne narady chłopów, szerzyły się pogróżki, nieposłuszeństwa krnąbrne. Tak czas, jak i sposoby agitacyi wskazywały, że przywódzca kozacki myślał o wywołaniu ogólnego powstania ludu polskiego, które w połączeniu z Rakoczym, gotującym się do zajęcia Krakowa, miało zgnieść szlachtę pozostałą w domu, pod opieką urzędników pokoju i podstarościch grodzkich. Ten chłopski ruch na tyłach pospolitego ruszenia groził, w razie klęski na polu bitwy, gdzie było 350,000 czerni kozackiej i 100,000 ordy tatarskiej, zupełną zagładą szlachcie. Chmielnicki z kupami dziczy ruszyłby w sam środek płonącej Polski. Szlachta, otoczona zewsząd potokami rozjuszonego gminu, z dymem traciła domy, rodzinę — i tylko grób mógł jej zachować ojczyznę... Niebezpieczeństwo było tak wielkie, że tylko nieświadomość mogła dawać nadzieję — a tylko traf ślepy obiecywał zwycięstwo. Całym ruchem podniecającym kierował pułkownik Stasieńko z pomocą 2,000 agentów... Z kilku przyśpieszonych, zawcześnie wytrysłych strumieni pożogi i mordu pokazało się jak najdowodniej, że organizacya prowadzoną była biegle, ze znajomością rzeczy... W Małopolsce, w okolicach Jarosławia, Lublina, Zamościa, na czele spiskowców stał niejaki Jędrzej, pop z Cieszanowa; w Wielkopolsce kierował „sprawą“ herszt sporej bandy, Piotr Grzybow-

ski, operując dokoła Poznania i Międzyrzecza; w pobliżu Piotrkowa i Wolborza zdrada przybrała jeszcze złośliwszy charakter... Stosunkowo awantura w Krakowskiem, znana w historyi pod nazwą „czorsztyńskiego powstania Kostki Napierskiego," liczyć się już może chyba do prob naiwnych... Według pierwotnych zeznań na mękach w Krakowie, po ujęciu garstki powstańców w zamku na Czorsztynie, Napierski miał być naturalnym synem Władysława IV. Niemowlęciem oddano go na wychowanie do możnego domu Kostków, który z powodu starożytnego rodu i pokrewieństwa ze św. Stanisławem, zażywał w Rzeczypospolitej wielkiego znaczenia. Wzięto następnie chłopca do fraucymeru królowej Renaty. Błąkał się później po Szwecyi. Po śmierci króla Władysława nie było dla niego miejsca w Polsce. Panem być nie mógł, służyć nie chciał, pracować nie umiał... W początkach r. 1651 zjawił się nagle w okolicach Krakowa z uniwersałami Chmielnickiego, z zamiarem ruszenia chłopów, opanowania przejść górskich dla Rakoczego i zajęcia Krakowa. Pomimo największych tortur nie wymienił Kostka żadnej osoby, z którąby go wiązały jakiekolwiek stosunki. Zachowywał się z wielką godnością i spokojem w obliczu mąk i śmierci. Powiadano, że tego „syna królewskiego" lud górski zamyślał odbić i pozostały w aktach dowody, że namawiano górali do tego. Młody jeszcze i przystojny—gdy go wieziono na miejsce egzekucyi, „był blady jak chusta, miał wejrzenie zimne i surowe... Podnosił niekiedy głowę — i wtedy gotowość na śmierć stała tak wyraźnie na jego twarzy, jak gdyby się na to tylko urodził, aby w ten sposób umierać..." Wysłuchał spokojnie wyroku, skazującego go na pal, a gdy go raz jeszcze spytano o imię, powiedział, że się zwie Szymon Bzowski (I, 314—329).

Głuche wieści o zwycięstwie pod Beresteczkiem i nadbiegające niebawem chorągwie pospolitego ruszenia przytłumiły iskry tlejące już dokoła prochownic wiejskich. Odwet na wzburzonem chłopstwie nie trwał długo... I rydwan przeznaczeń Rzeczypospolitej znowu potoczył się dalej — szlakiem dawnym, utartym.

W. Rajczyc.

WĘDRÓWKA IDEI.

III.

Słyszeć się dają głosy, że życie społeczne chwili obecnej odznacza się niezmierną złożonością. Tyle powstało odmiennych zajęć, nauka nagromadziła takie mnóstwo wiadomości, psychika ludzka wykwita tylu i tak wysubtelnionemi i różnorodnemi uczuciami, walka o kawałek chleba jest tak ciężka i trzeba wykazać w niej tyle energii i zapobiegliwości! A im cywilizacya będzie posuwała się dalej, tem wymagania będą coraz trudniejsze: tylko silny pływak zdoła utrzymać się na wzburzonych falach życia i igrać z bałwanami, które każdej chwili mogą pochłonąć słabszego...

Fakty te są niewątpliwą prawdą, prócz proroctwa na temat przyszłości, która na pewno wypłata niejednego figla wieszczom, budującym jej podstawy z powierzchownego rozbioru teraźniejszości. Istotnie, żaden z dotychczasowych okresów dziejowych nie wymagał od człowieka takich wysiłków i nie trzymał w takiem napięciu wszelkich jego uzdolnień. Gospodarstwo naturalne odznaczało się jednostajnemi a nielicznemi potrzebami i, co jest tego koniecznem następstwem, było ubogie w rozmaitość uczuć i objawów ducha wogóle. Drobny sposób produkcyi, właściwy ówczesnej epoce stosunków gospodarskich, podprowadzał wszystkie charaktery pod ten sam strychulec i wyklinał żądze, instynkty i pociągi, które sprzeciwiały się należytemu spełnianiu obowiązków. Noweliści niejednokrotnie przedstawiali smutną historyę natur artystycznych, które na nieszczęście ujrzały świat pod strzechą wieśniaczą — marzycielskie, rwące się od paszenia gęsi w czarodziejski świat dźwięków i kształtów, niosły przez wszystkie dni żywota krzyż istotny. Tymczasem rozgałęziony podział pracy wraz z innemi stronami życia dzisiejszego stworzył zapotrzebowanie na zdolności i talenty, które ongi były skazane na milczenie i jałowe szamotanie z braku zastosowania. Objawy ducha ludzkiego stały się bardziej złożonymi nietylko dlatego, że jestestwo nasze duchowe uległo pewnym zmianom, ale poprostu ponieważ zarodki drzemiące w głębiach naszej jaźni, podczas okresów drobnej produkcyi ginęły bezowocnie, tak samo, jak zamiera wątły kwiat wśród zielska. Podłoże rzeczowe rozrosło się tak wszechstronnie i rozlegle, stało się tak skomplikowanem i różnorodnem, że i okazy rodu ludzkiego, rozmieszczone na jego posterunkach i obarczone obowiązkami, nabierają pozornej złożoności, jak papier woskowy, pod który podłożono rysunek. Nie dość tego. Rozwój potęg wytwórczych, którym za ciasno jest w powijakach zarządu indywidualnego, stwarza, jako instytucyę stałą, nadprodukcyę towarów i umiejętności, rodzi konkurencyę z walką o byt i życie, przynagla wszystkie zdolności do gorączkowej i rozstrajającej działalności, nienormalnym rozpodziałem obowiązków i praw i niezdrowem ukształtowaniem sposobu życia i pracy wykoszlawia naszą jaźń uczuciową. Pod wpływem współzawodnictwa wzajemnego powstaje bardzo zawiły ustrój warunków bytu, potęgi materyalno-społeczne, stworzone ręką ludzką, wyrastają na „żelazne prawa" przyrody, niosące zagładę i zawsze kryjące w łonie swojem możliwość klęsk. Wszystko to odzwierciedla się w duszy ludzkiej taką samą złożonością—niekiedy rzeczywistą, częściej może tylko pozorną.

Na przekór tej rożnobarwności i złożoności, jednak struktura społeczeństwa jest dzisiaj prostsza, aniżeli kiedykolwiek w ciągu wieków ubiegłych. Zdanie to wygląda poniekąd na paradoks, ale bynajmniej niem nie jest. Budowa życia teraźniejszego, rzekliśmy, jest prostsza. To znaczy: stosunki społeczne odznaczają się niezmiernem ujednostajnieniem na przestrzeni olbrzymich terytoryów, wzrastającem coraz bardziej, i jednocześnie sprowadzeniem na mniejszą liczbę odmiennych pierwiastków. Te właściwości społeczeństwa obecnego występują na jaw już przy powierzchownym rozbiorze. Starczy porównać stosunki, właściwe ubiegłemu stuleciu, z tymi, jakie istnieją w naszem otoczeniu, ażeby zrozumieć rozmiary rozległości tego ujednostajnienia. Zamiast pstrokatej galeryi ubiorów, zamiast odmiennych zwyczajów, nawet dań obiadowych, rozpowszechnia się coraz większa monotonność. Z okien wagonu, wiozącego nas przez błonia okolic, które mają jeszcze dostatecznie wyodrębnioną fizyognomię, możemy przyglądać się przewybornie temu wylewowi jednostajności i równoległemu zanikowi odrębności starodawnej. W oddaleniu na widnokręgu spostrzegamy chaty włościańskie charakterystycznej budowy, tu i owdzie oko dojrzy kogoś w kostiumie miejscowym, na upartego ucho może podchwyciłoby nutę swojskiej, ludowej melodyi. Natomiast na stacyi i w jej pobliżu rozsiadła się architektura, powtarzająca się stale z jednego końca obszaru międzynarodowego do drugiego, kapelusze i krój sukni jest ten sam, katarynka wygrywa tę samą aryę z którejś operetki. Zjawisko takie powtarza się stale. Wielkie miasta są ośrodkiem nowego okresu — ujednostajnionych stosunków i ujednostajnionego trybu życia, koleje zaś — arteryami, po których nowa kultura, miejska, rozchodzi się wzdłuż i wszerz dawnych organizmów kulturalnych.

Atoli ów zanik dawnej rozmaitości jest tylko objawem powierzchownym, świadczącym, iż w głębi życia społecznego zachodzą pewne doniosłe zmiany. Z pośród wolnej konkurencyi wyrosły olbrzymie siły wytwórcze, oparte na centralizacyi. Ześrodkowanie narzędzi pracy pod tymi samymi rozkazami i zrzeszenie wysiłków ludzkich stało się dźwignią postępu, którego skutków niepodobna obliczyć na razie. Centralizacya zaś przemysłowa, rozpowszechniając się, upraszcza stosunki nietylko w sferze spożycia, ale także wszelkie inne. Podróżny, który udawał się ongi z Warszawy do Paryża w epoce gościńców i furmanek, tracił dużo czasu na podróż i musiał ponieść mnóstwo przykrości i mozołów. Puszczając się po kilku latach w taką samą podróż, odnosił niewiele korzyści z przeszłego doświadczenia. Dzisiaj kolej przewozi nas w dwie doby i bez kłopotów. Centralizacya transportu ujednostajniła wszystko i my czujemy się w wagonie, jak na własnych śmieciach. Albo przyjrzyjmy się produkcyi mięsa za Atlantykiem. W Chicago, Omaha i innych miastach powstały olbrzymie rzeźnie, szlachtujące rocznie po kilka milionów sztuk bydła. Z dnia na dzień, ze stepów, odległych o tysiące wiorst i więcej, przybywają setki wagonów, wiozących żywe okazy, i tak samo codziennie inne pociągi rozwożą stamtąd produkty wzdłuż wszystkich kolei, składają je w śpichlerzach na stacyach, stamtąd mięso jest wysyłane do jatek. Proceder jest prowadzony w tak wielkich rozmiarach, odznacza się taką prostotą, ładem i ujednostajnieniem, działa z taką prawidłowością, że Stany Zjednoczone z mniejszą trudnością zdołałyby unarodowić zawód rzeźnicki, niż Warszawa — zmunicypalizować.

I takie olbrzymie przedsiębiorstwa rozpowszechniają się coraz bardziej w dziedzinie wytwarzania i spożycia. Ujednostajnienie jest właśnie ich dziełem. Niekiedy dochodzi ono wprost do ordynarnego, koszarowego szablonu, choć winniśmy mimochodem zaznaczyć, iż nie tyle jest to wytwór koncentracyi wysiłków, ile norm prawnych, w jakich centralizacya ujawnia swoją działalność. Zrzeszenie zaś takie i ześrodkowanie wysuwa na przód nie jednostki, lecz masy, czyli, że zapożyczymy terminu z teoryi prawdopodobieństwa, wielkie cyfry. Właśnie ta okoliczność sprowadza tam stałość, gdzie niegdyś samowolnie rządziły kaprys i przypadek. Biorąc pojedynczą osobę, bliżej nam nieznaną, w żaden sposób nie zdołamy z góry przewidzieć jej czynów: czy skończy śmiercią naturalną lub samobójstwem. Jednostka to dowolność, nie poddająca się obliczeniom. Rzecz przybiera fizyognomię zgoła odmienną, odkąd dokonywamy obrachunku na podstawie wielkich cyfr. Statystyka wykazała, że liczebność postępków, na pierwszy rzut oka tak dowolnych, jak ilość źle zaadresowanych listów lub popełnionych samobójstw, trzyma się w społeczeństwie pewnych granic, po za jakie nie wychyla się, ciążąc do stałego poziomu. Na razie może nie zdolalibyśmy przytoczyć charakterystyczniejszego dowodu, że życiem gromadnem rządzą pewne prawa i zasady. Tylko biorąc pod uwagę wielkie cyfry, produkcya może wytwarzać towary, nie czekając na obstalunek — co do jakości.

Centralizacya stwarza wszędzie tłumy

i wysuwa je naprzód zamiast dowolnego działania jednostek. Dawniej każdy rzemieślnik i włościanin żyli w niezależności wzajemnej, wioski oddzielne zaś i miasta stanowiły ognisko samodzielnej kultury. Takie rozstrzelenie stwarzało, w sferze sił społecznych, zamęt i otwierało szerokie pole kaprysowi i samowoli, wyłamującym się z pod wszelkiej zasady. Potęgi społeczne, posiadając każda niezmierną mnogość punktów swego stosowania, krzyżowały się nawzajem i znosiły. Każdy z członków narodu był jako polip, który siedział na miejscu i po za miedzę wioski lub mury burgu nie wykraczał wzrokiem. Działał on, ale jego wysiłki łączyły się w solidarną wypadkową tylko z wysiłkami niewielkiego grona osób. Epoka obecna zburzyła taką samodzielność. Zamiast tysięcy rzemieślników, znajdujących się każdy w odmiennych warunkach, stworzyła fabryki, które poddała wpływom ze strony tego samego rynku wszechświatowego, które w dalszym ciągu wiąże teraz w syndykaty narodowe i nawet międzynarodowe — na jednym biegunie. Na drugim powołuje ona do bytu olbrzymie brygady fabryczne najemników. Życie społeczne każdego narodu, w miarę wzmagania się centralizacyi przemysłowej, zostało niezmiernie uproszczone, bo coraz bardziej zamiast mnóstwa niezależnych grup przedstawia dwie wielkie armie. Zamiast zadań pojedyńczych, czysto miejscowych, rozwiązywanych za pomocą środków także miejscowych, powstają zagadnienia ogólniejsze, obejmujące cały obszar międzynarodowy stosunków wymiennych, choć w każdym kraju ukształtowane odmiennie w drugorzędnych szczegółach.

Ujednostajnienie i zrzeszenie, te same wszędzie pierwiastki rzeczowe i, co zatem idzie, te same zagadnienia, te same potęgi walczące i te same narzędzia dziejowe, wreszcie wielkie tłumy i wielkie cyfry, oto obraz chwili tegoczesnej. I na podłożu tego człowiek uświadomił sobie, że społeczeństwem rządzą pewne prawa, którym musi ulegać. Za panowania zamętu wysiłków indywidualnych zdawało się, że wola jest jedyną siłą, kształtującą stosunki. Ale wśród krzyżowania wielu wól indywidualnych, wysiłki czyjejś działalności malały i niekiedy nie wydawały żadnego skutku. Wielkie cyfry ujawniły nam tę prawdę, że z czynów żywiołowych tworzą się stałe i wyraźne dążenia. Poznawszy zaś je, doszliśmy do możliwości świadomego oddziaływania na rozwój społeczny. Przeciw piorunowi znachor dziki ma mnóstwo środków: modły, posty, zaklęcia, amulety! Gdyby mu powiedziano, że to zjawisko przyrody odbywa się według praw niezmiennych, uważałby takie pojmowanie za ograniczenie i może za negacyę świadomości, zniżenie wpływów jednostki. Nauka, zbadawszy elektryczność, znalazła, że działając na podstawie praw jej właściwych, można piorun nagiąć do woli ludzkiej i zrobić go nieszkodliwym. To samo można rzec o społeczeństwie. Poznanie praw rozwoju i zrozumienie żywiołu konieczności, ogranicza tylko pozornie skuteczność zabiegów indywidualnych, bo w gruncie rzeczy wyzwala jednostkę ludzką od poruszeń niepotrzebnych i bezowocnych. Wraz z tem idea dziejowa, która powstała w pewnej dzielnicy organizmu wymiennego, zyskuje moc rozpowszechniania się, jakiej dotychczas nie posiadała.

L. Krzywicki.

JAN KUBARY.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Co właściwie wiemy, mówi Bastian, o tej potężnej umysłowości, która zajęła niemal ćwierć powierzchni globu naszego? W podróżach i rozprawach o Polinezyi znajdujemy nieco opowieści mitologicznych, zebranych z rozmaitych archipelagów, lecz tylko takich, które można łatwo zebrać i które są wprost pospolitym tworem codziennego dowcipu ludu. Zgromadzono je bezładnie i zrobiono taką samą mieszaninę, jaka powstałaby, gdyby ktoś złączył w jedno nasze pojęcia religijne, legendy o świętych, oraz gadki przesądne jako próbki poglądu na świat Europejczyków. Co do Polinezyi, można powiedzieć, że w zakresie religii posiadamy zaledwie kilka ustępów u jakiegoś pół tuzina pisarzy, a tymczasem zewsząd słychać obecnie, że za późno uzupełniać luki, bo posiadacze tradycyi wymierają."

Bastian w powyższych słowach miał na uwadze tylko wierzenia religijne, ale słowa jego możemy rozciągnąć także na więź społeczną Polinezyjczyków. Przed badaczem roztaczają się tam osobliwe ustroje, zaciekawiające go, ale niestety niezrozumiałe i wymierające. Próbki, istniejące w dziełach Marinera, Ellisa i innych, świadczą, że otoczenie topograficzne oddziałało w sposób bardzo charakterystyczny na organizacyę życia gromadnego i nadało mu kształty nieraz jak gdyby żywcem wyjęte z pra-klasycznej Helady. I na oazach-ryfach Pacyfiku i na pociętym lądzie Grecyi rody spiętrzyły się w dziwną hierarchię społeczną, jednocześnie demokratyczną i arystokratyczną. Tylko że tam, na wodach oceanu Spokojnego, rozmaitość jest większa, złożoność rozleglejsza, wzory odmienniejsze.

Ustroje te wymierają niezbadane, co gorsza, pofałszowane przez turystów, którzy nie pojęli ich istoty i usiłowali wtłoczyć stosunki tamtejsze w modły cywilizacyi kapitalistycznej, w najlepszym razie zaś feodalnej. Jedynym człowiekiem, który mógł dać rozwiązanie zagadki i posiadał wiedzę odpowiednią, był rodak nasz, Jan Kubary, świeżo zmarły na wyspie Ponapie. Nazwisko to jest u nas prawie nieznane, przynajmniej prócz kilku artykułów w *Ateneum*, nie spotkaliśmy nigdy podpisu jego na pracy w swojskim języku. Pisma codzienne, które z braku treści nieraz jakiejś miernocie poświęcają całe szpalty, zbyły milczeniem lub kilku wierszami śmierć Kubarego. A tymczasem badacz ten cieszy się rozległem uznaniem w świecie nauki. Jego prace o Pelauczykach i innych wyspiarzach archipelagu Karolińskiego możemy postawić na tym samym poziomie z monografią Morgana o Irokach i studyami Howitta nad Australczykami. Trzy te nazwiska streszczają w sobie cały postęp socyologii etnograficznej w ciągu ostatnich lat dwudziestu, tj. postęp tej nauki wogóle, bo ów przeciąg czasu jest zarazem chwilą jej narodzin.

Kubary drukował prace swoje w rocznikach hamburskiego muzeum firmy Godeffroy, w wydawnictwach muzeum etnograficznego w Leydzie itd., pisane zresztą bardzo kiepską niemczyzną. O życiu jego nic prawie nie wiemy. Studyował medycynę w Warszawie, ale porzucił ją i wyniósł się za granicę. Tam, jako agent firmy Godeffroy'ów, wyjechał do Polinezyi, ażeby po kilku latach pobytu zyskać w nauce imię bardzo poważane. Podobno co do trybu życia zdziczał zupełnie. Jeden z etnografów niemieckich na wykładach swoich zażartował razu pewnego, że Kubary zbudował gniazdo na palmie kokosowej i w niem mieszka. Jeżeli opowieści o zdziczeniu jego są rzetelne, dowodziłoby to tylko, że prosty byt Pelauczyków pociągał go więcej, niż sztuczny i nienaturalny cywilizacyi *).

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Bulletino della Societa Dantesca italiana. — Carducci: „Le rime di Danti“ i „Della varia fortuna di Dante.“ — Dr. G. A. Scartazzini: Enciclopedia dantesca. Milano, 1896.

Nieustanne studya o Dantem zaczynają nareszcie się koncentrować z jednej strony w Buletynie Towarzystwa Dantejskiego, wydawanym przez dr. Michała Barbi, z drugiej w szeregu encyklopedyj („Index“ Volpiego, „Vocabulario“ Blanca, „Dizionario“ Poletta), z których najważniejszą jest ostatnia dr. Scartazziniego (wyszedł dopiero tom pierwszy, zawierający 1,000 stronic). Wspomnijmy jeszcze o wydawnictwach w rodzaju „Poesie di mille autori intorno a D. Alighieri“ Karola del Balzo: zbiór poezyi najrozmaitszych autorów, napisanych z powodu Dantego.

Cały ten ruch krytyczny, za którym najlepiej śledzić można według „Bulletino,“ dochodzi do rezultatów nader negatywnych: legendy osnute koło imienia Dantego coraz bardziej się rozwiewają. Przedstawimy te rezultaty krytyki włoskiej, poczynając od pierwszego dzieła tajemniczego i zawikłanego, od „Vita Nuova.“

Wszystkie trudności pochodzą z różnicy pomiędzy znaczeniem alegorycznem a literalnem „Życia.“ Każde z nich jest inne, a jednak są w zgodzie. Zastanówmy się nad każdem zosobna. Naprzód nad alegorycznem. Tu jesteśmy w krainie mitów. Czy jest istotnie uczucie tak rozkoszne, iż ci, co je poznali, stracili smak wszystkiego, co niem nie jest i chcieli umrzeć? Być może, iż wraz z całością rzeczy i miłość uległa nieubłaganej ewolucyi, która odarła ją z promieni, zgasiła to słońce. Nasze czasy uważają raczej miłość za jakąś wielką ironię, a ekstazy z „Vita Nuova“ za zaszczytne kłamstwo, złudzenie wyobraźni, oparte na grze słów i muzyce rytmów. Tu uczucie przybiera charakter absolutny, jest zupełnie wolne od warunków zewnętrznych, żyje wewnętrznym swym ogniem. Poeta bynajmniej nie cierpi od tego, że Beatrycza jest żoną cudzą. Wszystko, co rzeczywiste i naturalne, nie gra tu żadnej roli. Nawet śmierć nie posiada żadnej władzy nad tem uczuciem. I owszem, poeta kocha nawet śmierć od chwili, jak ona utożsamiła się z wybraną. Miłość jest źródłem wszystkiego, co wzniosłe i czyste. Cierpienia z nią związane są zbawienne, gdyż otwierają podwoje do światów nieznanych coraz głębszego życia wewnętrznego. Gdy w wizyi wstępnej Amor zjawia się z jego sercem i przykłada je do ust kochanej, poeta tłomaczy ją jako zapowiedź przyszłych cierpień, ale przyjmuje je bez skargi. Jest to gorzka cena owoców poznania. Miłość uwalnia od tyranii życia. Wypadki zewnętrzne to tylko symbole głębszego, wewnętrznego bytu, gdyż istnieje odpowiedź tajemnicza pomiędzy dwoma światy, ducha i materyi. Ale zwykłymi sposobami poznać jej nie można. Rozum nie

*) W r. 1886 drukowaliśmy w *Prawdzie* obszerne sprawozdanie o jednej z prac Kubarego.

jest w stanie jej przeniknąć. My teraz pojmujemy to w sposób zupełnie inny, niż poeta.

Miał wyobraźnię wspaniałą i duszę smutną. Jego smutek staje się życiem, przybiera formę kobiety o oczach odbijających sny odwieczne ludzkości. Poecie wydaje się, iż przenika w istotę rzeczy, w prawdę boską, drogą miłości i uczuć, które jej towarzyszą, przeczucia, smutków i radości, zmieniających się w jego sercu bez widocznej przyczyny—wszystko to stanowi objawienia chwilowe i cząstkowo. Brzeg zasłony tajemniczej się odchyla i wnet potem opada. Duszy ludzkiej odpowiada dusza rzeczy, która się wyraża za pomocą symbolów. Stąd pochodzi sposób szczególny spoglądania na rzeczy, aby rozpoznać ich znaczenie emblematyczne i idee, które one mają w nas obudzić. Na miejsce opisów występują więc aluzye. Dante jest jednym z największych przedstawicieli symbolizmu, który polega na tem, aby pod powłoką materyalną rzeczy rozpoznać ich treść idealną.

Cała ta teorya wskrzeszona została przez obecnych symbolistów i dlatego ciekawą jest rzeczą odnaleźć, skąd Dante sam ją czerpał.

Carducci wykazał, iż „Vita Nuova“ stanowi epokę, w której Dante przechodził od Prowansalczyków do scholastyki. U schyłku wieków średnich poezya trubadurów przenikła do Sycylii, gdzie ją tłomaczono na język włoski, ale duchem i treścią pozostała prowansalską u wszystkich poetów tamtejszych, poczynając od Fryderyka II i kończąc na notaryuszu, Giacomo di Lentino. Wkrótce potem na wzór sycylijskich pojawiła się szkoła trubadurów toskańskich (Dante di Maiano, Ciullo d'Alegno i in.). Wpływ poezyi rycerskiej widać nawet na polotach mistycznych Franciszka z Assyżu, który nazywał Nędzę swą Damą, a siebie samego trubadurem Chrystusa. Jest to sztuka, która wpadła w dzieciństwo, jest to „szczebiotanie zgrzybiałości,“ jak powiada Carducci. Z pomiędzy liryków toskańskich tego rodzaju najsłynniejszym był Guido Guinicelli. On nie kontentował się tą zastarzałą poezyą rycerską, lecz łączył ją ze scholastyką i platonizmem: stąd obfitość niesłychana aluzyj, symbolów i alegoryj. Otóż Dante wychowywał się w tej szkole, był najbardziej ukochanym uczniem Guinicellego. „Vita Nuova“ — to właśnie pomnik tego wpływu: miłość jest tu nietylko rycerską, ale i doktorską. Któżby się spodziewał, iż symbolizm współczesny ma swe źródła bezpośrednie w scholastyce średniowiecznej? A jednak tak jest niewątpliwie. Wszystkie drogi tego wpływu są dokładnie znane krytyce współczesnej. Jednym z pierwszych i największych symbolistów naszego wieku był Dante Gabriel Rossetti, który siebie otwarcie przyznaje za ucznia mistrza włoskiego, a śród jego dzieł najwyżej stawia „Vita Nuova.“

Pod wpływem scholastyki wszystko staje się dla Dantego alegoryą: wszędzie i we wszystkiem widzi znaczenie podwójne. Przytoczymy jeden z licznych przykładów.

Było to wkrótce po śmierci Beatryczy „Szedłem — powiada — dumając o czasach ubiegłych, tak smutny, tak znękany, iż twarz moja wykrzywiała się od bólu. Przejęty wstydem z mej powierzchowności tak nieszczęsnej, podniosłem naraz oczy, aby się upewnić, iż nikt przynajmniej nie był świadkiem mych mąk. I ujrzałem w jednem oknie damę, która spoglądała na mnie oczyma tak pełnemi litości, iż twarz jej była całkiem zmieniona. Do tego czasu rozdarcie mego serca nie wywołało we mnie ani jednej łzy, ale gdym ujrzał tyle współczucia w oczach tej pani, poczułem, iż powieki mi się zwilżają. I poszedłem szybko, aby nie zdradzić mej rozpaczy i mówiłem do siebie po cichu: miłość tej pani musi być rzeczą szlachetną.“

Otóż pod wpływem scholastyki Dante chce w nas wmówić, iż ta pocieszycielka była... filozofią. I są tacy, którzy tłomaczenie to brali seryo, nie zważając na dalsze wyznania poety. Jego smutek znalazł ukojenie. Powrócił do świata i ludzi, szukając wszędzie spojrzenia tej, która umiała tak dobrze współczuć. I spotykał ją niejednokrotnie.

„I zawsze — powiada Dante—gdy mnie spostrzega, twarz jej staje się bladą od współczucia, tak bladą, koloru miłości. Często wówczas przypominałem sobie, iż pani moja miewała także tę bladość. I nieraz, gdy serce me wzbierało od łkań powstrzymanych aż do pęknięcia, starałem się zobaczyć tę szlachetną osobę, która jedna tylko miała dar wywoływania mych łez. Niestety, z czasem nabrałem zbyt wiele pociechy w jej współczuciu! Co za nowe męczarnie! Co za zgryzoty! Jakie wyrzuty czyniłem memu podłemu sercu, zakochanemu pomimo wszystko w życiu i miłości! I często przeklinałem próżność własnych mych oczu. Co — mówiłem do siebie — już jesteś gotów zapomnieć Beatryczy! Nigdy, chyba po śmierci możesz zaprzestać opłakiwać jej! Ale w innych chwilach mówiłem do siebie: Pani ta jest szlachetna, młoda, rozumna i piękna. Kto wie? Może miłość ci ją przysłała dla uspokojenia twego serca, tak znużonego! I wszystkie me myśli walczyły z sobą, gdyż z jednej strony chciałbym był pozostać na zawsze wiernym Beatryczy, z drugiej jednak chciałem współczucia tej młodej pani, która okazała się tak litosną dla mej męczarni.“

Przejdźmy teraz do sensu literalnego „Życia Nowego.“ Miłość ku Beatryczy występuje tu jako uczucie gnieżdżące się nie w sercu, lecz w głowie, w wyobraźni, jako machina poetycka, która była w powszechnem użyciu za owych czasów. Zobaczmy fakty. Sądząc z „Vita Nuova“ i z życiorysu napisanego przez Boccaccia, Dante miał lat 9, gdy po raz pierwszy widział i pokochał Beatryczę, ośmioletnią dziewczynkę. W dziewięć lat później widział ją powtórnie — i od tego czasu rozpoczynają się jego wizye poetyczne. Przyjaciele, między innymi Dante di Maiano, uważali go za chorego umysłowo i kazali mu się leczyć. Trzymał swą miłość w wielkiej tajemnicy, a żeby odwrócić uwagę ciekawych, udawał, iż jest zakochany w innej pani, dla której napisał kilka sonetów. Następnie udał się do Bolonii dla studyów, a po powrocie, znowu dla zatarcia śladów, obrał inną panią za przedmiot zalotów.

Pewnego dnia — opowiada Dante — wszedł do domu, gdzie były zaręczyny — nie wiedział czyje. Naraz, ujrzawszy narzeczoną, poczuł wielki ból w sercu. Później zaprowadzono go na wesele, nie mówiąc czyje. Uciekł, płacząc. Istotnie Beatrycza wyszła za Szymona do Bardi w 20 roku życia Przestała uprzednio się kłaniać Dantemu dlatego, jak zapewnia Boccaccio, iż nazbyt starannie „udawał“ zakochanego w dwu paniach, które miały wrzekomo służyć tylko za parawany, a także wyśmiewała go w towarzystwie innych dam.

Wkrótce potem ojciec Beatryczy umarł. Dante podzielał jej rozpacz, a w dwa lata później opłakiwał i ją samą. Umarła w 24 roku życia, „dziewiątego dnia dziewiątego miesiąca.“ Wogóle dziewiątka grała, zdaniem Dantego, wielką rolę w jego życiu i dlatego ogłasza Beatryczę za dziewiątkę, a zatem „za cud, którego pierwiastkiem jest św. Trójca.“ Ta dziewiątka głównie przyczyniła się do zbicia z tropu krytyków, zwłaszcza gdy Dante znalazłszy pocieszenie swego smutku w litości „pani z okna“ (Donna dell'fenestra), ogłosił z czasem i tę ostatnią za... filozofię (w „Bankiecie“). Następnie miał dwie nowe wizye, po których ze skruchą wyrzekł się swej pocieszycielki i powrócił naprówrót do kultu Beatryczy.

Takie są dane o tym romansie, które posiadamy w opowieści Dantego i Boccaccia. Należy przyznać, iż są one nader niejasne i często zbijają z tropu Dopiero prace Carducciego, Uga Canellego i Aleksandra d'Ancony i Marka Menniera pozwoliły w nie wprowadzić trochę harmonii i światła.

Naprzód co do wizyj, nie powinny one nas zadziwiać, ani wprawiać w błąd: był to zwykły środek poetyczny, często używany za owych czasów. Kult „dziewiątki“ dowodzi tylko, iż Dante wierzył w średniowieczne przesądy względem liczb. Nareszcie cała ta miłość i nawet samo istnienie Beatryczy były długi czas kwestyonowane. Tak np. Bartoli w swej „Storia della letteratura italiana“ zapytuje się z niedowierzaniem, na jakiego licha Dante byłby się ukrywał ze swą miłością i kompromitował niepotrzebnie dwie panie, kiedy mógł wprost się oświadczyć i byłby na pewno przyjęty za zięcia przez Falca Portinari. Jeżeli tak nie uczynił, to dlatego, iż Beatrycza nie istniała. Ma ona być tylko symbolem ideału kobiecego „des ewig Weiblichen.“ Dodajmy, iż dawniej uważano już Beatryczę za symbol teologii, władzy cesarskiej, nawet .. matematyki.

Wszystkie to jednak sprzeczności znikają, jeżeli wziąć pod uwagę zwyczaje i poglądy włoskie XIII st. Dante należał do bractwa „Wiernych,“ którzy kochali po prowansalsku. Według kodeksu trubadurów, miłość nie godziła się z małżeństwem i musiała być zachowywana w najściślejszej tajemnicy. Ale jakkolwiek należał do bractwa „Wiernych,“ Dante nie był wiernym: w tych przelotnych miłostkach zawiera się, zdaniem d'Ancony *), główny klucz dla zrozumienia wszystkich sprzeczności „Nowego Życia.“ W ten sposób objaśnia się, czemu Beatrycza przestała mu się kłaniać i czemu wyśmiewała go w towarzystwie pięknych pań.

Zresztą Dante sam nie ukrywał się ze swym nałogiem, który przedstawia jako panterę, bardzo zwinną i żywą, o szerści plamistej. Zastępuje mu ona drogę na początku „Komedyi Boskiej,“ a gdy przybył do kręgu piekieł, gdzie grzech ten jest karany, musiał go odpokutować przejściem przez płomienie. Przyznając ten grzech swój, nie chciał jednak, aby o nim mówiono. Ale mówiono o nim i owszem bardzo wiele.

Jego wrogowie zrobili mu reputacyę rozpustnika, gdy był na wygnaniu i dlatego zaopatrzył „Vita Nuova“ komentarzami w zamiarze usprawiedliwienia się. To też przedstawia, iż zalecał się do dwu pań, jednocześnie z Beatryczą, tylko w chęci odwrócenia od niej uwagi.

Ale było to tłomaczenie wymyślone i niezręczne: dwa kaprysy są już sympatyczniejsze, niż dwukrotna kompromitacya osób niewinnych. W tejże intencyi ułożone były komentarze „Bankietu,“ dla objaśnienia trzeciej swej niewierności z „Donna dell'fenestra,“ czyli „Donna pietosa,“ którą nieopatrznie opowiedział w „Vita Nuova.“ Nie pozostawało mu nic innego, jak ogłosić ją później w „Il Convito“ za... filozofię.

Widzieliśmy, jak wielkie sprzeczności istnieją pomiędzy sensem alegorycznym i literalnym „Życia Nowego,“ ale one pochodzą tylko z tego, iż serce poety było także pełne sprzeczności. Wyprowadzone z tego źródła najszczytniejszego idealizmu i najbardziej zmysłowych pożądań obie wersye są w zupełnej zgodzie.

Dr L. W.

*) La Beatrice di Dante.

LITERATURA POLSKA.

Antoni Godziemba Wysocki: *Aniołowie z gliny*, powieść.

(Zamiast krytyki).

...nie mogę mieć *całego* sądu o nim (2).

W tym czasie *skończyłam* lat ośmnaście i ojciec mi powiedział, że edukacyę moją uważa za *ukończoną*.

...nauczycielka moja odjechała do miasta, a ja *skwalifikowaną* zostałam tem *na* pannę *na* wydaniu (4).

Przyjechał tu w miesiąc *później*, *później* w dwa tygodnie, *później* znów w dwa tygodnie i tak dalej (5).

...nie zakocha się wcześniej, *jak* wtedy, gdy...

...przychodzi zwykle tylko wtedy, *jak* chce... (8).

Raz nie zagrałam mu kawałka, o który on prosił, ale ten, *który* chciał Józio, to tak spojrzał na niego, *że* myślałam, *że* mu co złego zrobi (10).

Wiadomość o śmierci ukochan*ego*, dobr*ego*, choć może nieco słab*ego* dla ni*ego* ojca strzeliła w ni*ego* jak piorun (17).

Stanisławowi nie bardzo to w smak *popadło* (19)

Chciał układać się i ułożył się z nimi jak najprędzej, *by* mieć, o ile można jak najswobodniejszą głowę, a obok tego bał się, *by* go, nieznającego się na tego rodzaju „historyach“ zbytnio nie oszukano i *by* się w tem większe jeszcze kłopoty nie wplątał (20).

...chcę, *byś* się zastanowił, *byś* wiedział, czy będziesz miał na tyle, *by* móc dom utrzymać na odpowiedniej stopie (29).

...nie chcąc, *by* życie nie stało mi się jeszcze ciężarem, *by* nie odbierać mu złudzenia, które go sługą moim robi i *by* samej sobie... (64).

Przyznam się pani — rzekł Henryk — *że aby* mi tak znowu bardzo miało na tem zależeć, *by* Ira podobała się wszystkim, *to nie powiem i żeby* mnie to miało zbyt cieszyć (109).

Przyszła, *by* mimo, że już pozwolił, mimo, że już się zgodził na to czasowe pozostanie jej w mieście, *by* to pozwolenie jego raz jeszcze od niego samego usłyszeć, *by* się z owej mniemanej winy usprawiedliwić, *by* go za to przeprosić.

Oranżerya była urządzona bardzo *prymitywnie* (21).

Że jednak przy tej *apatyi* miała *momenta* popędów *energii* i dużo na *punkcie* robienia *konkiet ambicyi* (27).

A tu *przychodzi* jej siedzieć daleko od wszystkiego (71).

Pokochała całem sercem swego *staruszka* i wdzięczna za *tą macierzyńską* opiekę, jaką ją otoczył (100).

I t. p.

W DALI.

Łódź. Doroczną ciszę „międzysezonu“ odczuwają obecnie mniejsi przedsiębiorcy i handlarze łódzcy skutkiem braku kapitałów obrotowych i wielu zobowiązań płatniczych. Wojażerowie wielu firm wyruszyli już w różne strony Cesarstwa. Zawód tych agentów bardzo się opłaca; niektórzy z nich mają dochodu po kilkanaście tysięcy rs. rocznie. W Łodzi agenci „domów“ zagranicznych robią niezłe interesy. Za ich pośrednictwem przedsiębiorcy, przeważnie angielscy i niemieccy, zawierają umowy na wełnę, bawełnę, jedwab itp. W przewidywaniu zwyżki cen tych artykułów, tudzież z powodu nieurodzaju bawełny w Ameryce i zarazy w Indyach, fabrykanci czynią znaczne zakupy przędzy wełnianej i bawełnianej. — Według korespondenta *Kuryera War.*, ministeryum spraw wewnętrznych przyjęło w zasadzie projekt Towarzystwa wzajemnego kredytu w Łodzi i przesłało go do rozpatrzenia gubernatorowi piotrkowskiemu. — Powstanie wkrótce kasa zaliczkowo - wkładowa „kupców łódzkich.“ Każdy uczestnik korzystać będzie z kredytu wekslowego. Wysokość kredytu równać się ma wkładowi, przez dziesięć pomnożonemu. Najniższy wkład 25 rs.

Lublin. W rządzie gubernialnym inż. Wejsblat złożył projekt techniczny budowy wodociągów w Lublinie. Zawiera on: plan miasta z oznaczeniem przyszłych budowli i przyrządów wodociągowych, profile podłużne ulic z temże oznaczeniem, plan stacyi wodociągów, budynku maszyn, filtrów i zbiornika dla czystej wody, wieży ciśnień i budki dla wydawania wody, wreszcie kotłów parowych, maszyn z pompami, szluz, kranów pożarowych i fontanny. Do projektu dołączono szczegółowy opis itd. Wedle projektu, woda dziesięciocalową rurą żelazną dostawać się będzie z rzeki do studni, znajdującej się w odległości 50 sążni od brzegu. Z tejże studni rura ssąca doprowadzać będzie wodę do hali maszyn, następnie do filtrów. Te zaś mają dostarczać dziennie około 150,000 wiader wody czystej. Wieża ciśnień ma być wzniesiona na ul. Namiestnikowskiej, wprost gimnazyum męskiego; będzie ona miała około 100 stóp angielskich wysokości. Z wieży prowadzić będą dwie rury magistralne: jedna w kierunku rogatek warszawskich, druga lubartowskich. W pierwszych latach rury wodociągowe mają być ułożone wzdłuż ulic: Krakowskie Przedmieście, Namiestnikowskiej, Szpitalnej, Gubernatorskiej, Kapucyńskiej, Bernardyńskiej, Królewskiej, Zamojskiej do domu Grünberga, Początkowskiej do szpitala, Czechowskiej do rogu Radziwiłłowskiej, Radziwiłłowskiej, Św. Ducha, Nowej, Lubartowskiej do szpitala żydowskiego, Grodzkiej, Kowalskiej, Szerokiej i Ruskiej. Co sto kroków mają być urządzone krany pożarne, prócz tego w pięciu miejscach woda sprzedawana będzie na wiadra i beczki. W ogrodzie miejskim powstanie fontanna. Według przypuszczeń gazety miejscowej, roboty około budowy wodociągów rozpoczną się już na wiosnę i w ciągu r. b. pewna część ulic otrzyma wodę filtrowaną.

Tomsk. Korespondent *Kuryera Warsz.* podaje wiązankę następujących wiadomości: Parafia tomska liczy katolików około dwudziestu tysięcy; są to przeważnie Polacy, rozproszeni po całej gubernii. W samym Tomsku mieszka grono inteligencyi polskiej. Przed kilku laty wystarano się o zatwierdzenie katolickiego Towarzystwa dobroczynności. Dotychczas, z braku funduszów, działało ono słabo, jest jednak nadzieja, iż w przyszłości środki się powiększą. — Dyrekcya miejscowego teatru ofiarowała na rzecz instytucyi połowę dochodu z przedstawienia w dniu 5-ym lutego; grano „Klub kawalerów“ Bałuckiego. „Życie towarzyskie, chociaż nie jest huczne i szumne — pisze korespondent — rozwinięte jest wcale nieźle; są wprawdzie rozmaite kółka i kółeczka, lecz często bywa, że łączą się razem. Wstrętu do bibuły drukowanej nie mamy, interesujemy się bardzo gorliwie ruchem umysłowym, sprowadzamy w miarę sił i możności wszystkie niemal pisma polskie i książki, które wymieniamy po przeczytaniu.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Brodach czynione są przygotowania do uczczenia setnej rocznicy urodzin Józefa Korzeniowskiego. Dn. 19 b. m. położony będzie kamień węgielny pod pomnik tego pisarza w ogrodzie miejskim. Tegoż dnia w Lublinie teatr miejscowy wystawi „Żydów“ i „Karpackich górali.“

— Ministeryum komunikacyi opracowywa projekt urządzania po miastach biur informacyjno-komisowych z obszernym programem działalności handlowo-przemysłowej i najmu robotników. Instytucye te zakładane będą na stacyach kolei rządowych.

— W Warszawie wybitne firmy bankierskie, na mocy porozumienia, zamykane są o godz. 5—5½ wiecz. Inne podobno zamierzają pójść za tym przykładem, ażeby pracownikom dać więcej wytchnienia.

Szkoły. Wydział fizyczno-matematyczny, z postanowienia rady uniwersyteckiej warszawskiej, ogłasza następujące tematy do nagród na rok bieżący: 1) zbadać rozpuszczalność minerałów skałotwórczych w szkłach rozmaitego składu; 2) zapłodnienie u iglastych; 3) współrzędne spiralne (*coordinatae*) i zastosowanie ich w cynetyce ciał stałych; 4) pasorzyty mięczaków w Królestwie Polskiem; 5) związek pomiędzy zjawiskami rozmnażania i regeneracyi: *a*) w organizmach niezłożonych, *b*) w wytworach dzielenia się jajek i *c*) w komórkach tkankowych. Ze względu na rozległość tematu, można ograniczyć się opracowaniem jednej części. 6) budowa geologiczna rzeki Wisły, przeważnie w okolicach m. Warszawy; 7) o pokładach węgla kamiennego w Rosyi północnej. Prace powyższe złożyć należy przed d. 17 stycznia 1898 r.

— Ministeryum rolnictwa uchwaliło, aby wychowańcy niższych szkół rolniczych mieli pierwszeństwo przed innymi kandydatami do rolniczych średnich, bez wyjednywania osobnych pozwoleń i bez względu na wiek uczniów.

— *Pet. List.* zapewniają, że młodzi uczeni, którzy dotąd dla dalszego kształcenia się wysyłani byli kosztem rządu do uniwersytetów niemieckich, teraz skierowywani będą do francuskich.

— Polite ·hnika lwowska otrzymała bezimienną ofiarę, wielką bibliotekę, złożoną z książek naukowych, nadto zbiór narzędzi matematycznych i astronomicznych.

— Wydział historyczno-filologiczny uniwersytetu petersburskiego dla studentów do rozpraw na medale wyznaczył temat: „Stosunki Polski do papiestwa i cesarstwa od końca XIII do początków XIV wieku.“

— Wydział prawny w uniwersytecie tomskim otwarty będzie jesienią.

Zdrowie publiczne. Ogłoszono przepisy, dotyczące utworzenia punktów lekarsko-obserwacyjnych, zakładanych przez komisyę do zapobieżenia zawleczeniu zarazy dżumy do Cesarstwa. Punkty takie ustanowione będą przy każdej otwartej komorze celnej, zadaniem ich ma być: a) oględziny wszystkich osób udających się do Cesarstwa; b) zatrzymywanie, odosobnienie i leczenie niewątpliwie dotkniętych dżumą, tudzież podejrzanych pod tym względem, jako też dla dozoru nad osobami, pozostającemi pod obserwacyą: dezynfekowanie mienia zatrzymanych osób i towarów (tych ostatnich na mocy specyalnych zarządzeń). Punkt lekarsko-obserwacyjny składa się najmniej z jednego lekarza, zarządzającego wydziałem gospodarczym, dwu felczerów, felczerki lub akuszerki, siostry miłosierdzia i czterech sanitarzystów, służącej i kucharza lub kucharki.

— W Teodozyi (Krym) ustanowiono komisyę (z ks. Szachowskim na czele), której zadaniem będzie zapobieganie zawleczeniu dżumy do Rosyi.

Koleje i komunikacye. Magistrat przedstawił do zatwierdzenia projekt koncesyi i plany kolei wązkotorowej w dwu kierunkach: od rogatki Petersburskiej do Jabłonny i od Moskiewskiej do Wawra. Część toru ma przechodzić przez terytoryum miejskie. Warunki eksploatacyi, oparte na tych samych zasadach, co kolei Wilanowskiej. Wszystkie linie, wybudowane w granicach miasta, wraz z rozgałęzieniami i taborem osobowym, przechodzą na własność miasta po latach 30. Po 15-tu zaś magistrat ma prawo wykupić całą linię. Użyta będzie siła mechaniczna. Średnia szybkość 12 wiorst, maksymalna — 20. Zarząd tramwajów, roszczący zbyt szerokie prawa, występuje z protestem przeciwko tym nowym rozgałęzieniom komunikacyi.

Dobroczynność. Koncert, urządzony w Warszawie na rzecz V-ej szwalni, przyniósł czystego dochodu 1,700 rs. Organizatorem był p. Aleksander Rajchman, redaktor *Echa Muzycznego*.

— Z powodu znacznego zwiększenia się liczby wychowanic zakładu sierot w gmachu głównym na Krakowskiem Przedmieściu w Warszawie, zarząd Towarzystwa dobroczynności postanowił otworzyć nowy oddział przytułku dla 20-tu dziewcząt przy ul. Pięknej nr. 19.

Wystawy i zjazdy. Odbędą się następujące zjazdy podczas wystawy rolniczej i przemysłowej w Kijowie: od 1—6 sierpnia w sprawie jedwabnictwa; od 7—12-go — pszczelnictwa; od 13—19-go hodowli ptactwa; od 20—26-go — sadownictwa i ogrodnictwa; od 27—31-go — hodowli owiec i trzody chlewnej; od 1—5 września — leśnictwa; od 6—12-go — hodowli chmielu; od 13—22-go — hodowli

i sprzedaży koni, od 23—27-go — ogólnych spraw gospodarczo-rolniczych; od 28 września do 2 października— hodowli bydła i od 3—6 października— produkcyi płodów ziemnych.

Przemysł i handel. Z powodu wynikłej kwestyi co do wyjednywania pozwoleń na otwieranie warsztatów rękodzielniczych bez motorów, nastąpiło wyjaśnienie ze strony p. oberpolicmajstra, że takie zakłady można otwierać bez uprzednich pozwoleń, z warunkiem wszakże, aby pomieszczenia i składy odpowiadały przepisom sanitarnym, oraz bezpieczeństwa ogniowego. To samo stosuje się do sklepów oraz składów handlowych, z wyjątkiem takich, w których sprzedaje się materyały łatwopalne i to w większej, określonej ilości, gdyż wówczas musi przed otwarciem zejść na grunt komisya, orzekająca, czy dany lokal posiada warunki bezpieczeństwa tak pod względem rozmiarów i grubości murów, jak i urządzenia.

— *Merow. Odg.* doniosą, iż według nowej ustawy, komitety giełdowe będą miały prawo usuwać z ceduły te papiery procentowe, których kurs spadnie do 50% wartości nominalnej.

— Właściciele domów w Częstochowie starają się o pozwolenie założenia Towarzystwa kredytowego miejskiego.

— Pruszków, po przeniesieniu warsztatów mechanicznych kolejowych z Warszawy, niewątpliwie szybko się rozwinie i przybierze cechy miasta przemysłowego. Powstała już spółka budowlana tanich domów. Kolej wybuduje trzeci tor, wyłącznie dla komunikacyi między Pruszkowem a Warszawą. Wpłynie to na rozwój nowego ogniska i szybki wzrost ludności, której zbyt ciasno i drogo w murach wielkomiejskich.

— Okolice Łowicza stają się coraz większem ogniskiem przemysłowem. Fabryka wyrobów miedzianych i walcownia miedzi będzie powiększona kosztem pół miliona rubli (akcya po 500 rs.).

— W Kierczu (na Krymie) powstała fabryka machin i narzędzi rolniczych. Sprowadzono z Warszawy większą część robotników fabrycznych i pracowników kantorowych.

Zmarli. Lesław Boroński, w Katowicach, adwokat, publicysta i wydawca, odebrał sobie życie.

— Henryk Pille, malarz, w Paryżu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Czytelniczce. Ponieważ są to dwa odmienne wyrazy, określające jedną rzecz, więc różnicy w używaniu ich nie ma.

Panu Ad. Sz. we Lwowie. Treść tego dzieła dla nas zbyt specyalna.

Romantykowi. Wszystko w wierszach Pańskich jest, ale poezyi nie ma.

Panu Ben. H. Obrazek prawdziwy, ale nie wyraża niczego, chociaż widocznie nakreślony tendencyjnie.

Pytającemu. Biuro techniczne S. Zientarskiego (Wspólna 47A) zawiadamia nas, że dostarcza maszyn do zamrażania produktów spożywczych.

P. Bud. w Charkowie. W przedmiocie tym między innemi pisali: *Szczepański Alfred*: Artur Grottger. Ustępy z dziejów sztuki polskiej. Kraków, 1868 r., str. 87; *Kantecki Klemens*: Artur Grottger. Szkic biograficzny. Lwów, 1879, str. 159. *Tarnowski Stanisław*: Artur Grottger. Kraków, 1886, str. 48. Książek tych dostarczy każda księgarnia warszawska.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 28 Февраля 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.